



WŁADYSŁAW
RYMKIEWICZ

SPÓR

o wika- riusza

ANDRZEJ
DOŁĘGOWSKI

JESLI SIĘ JEST STUDENTEM

własny powiat, którzy nie wiedzą, co to — namiętność krajoznawcza ani ambicja sportowa, i którzy doszli do posiadania wysokogatunkowych motorów zagranicznej marki zarówno z powodu dysponowania pokaznym zasobem gotówki, jak i dla dogodzenia swojemu swojemu snobizmowi i chęci zapromowania współmieszkańcom rodzinnej wsi, ładnym, czerwonym motocyklem.

Wśród tych ostatnich trzeba jeszcze odróżnić i takich, którzy nabyli motory dla celów czysto użytkowych, praktycznych. W Belchatowie opowiadają, że pod spódzielnię pracy „Czyn Majowy” podjechał ze zwojem wełnianej materii na kierownicy luksusowego skutera „Lambretta” (cena około 25.000 zł) chłop i tkacz

Dokończenie
na str.
4

Wy wszyscy, którzy jeździć co dzień tramwajami wraz ze studencką watahą, posłuchajcie gdzie i za co żyje w Łodzi parę tysięcy studentów.

Jest ich w ogóle w mieście ponad 9 tysięcy. Z tej liczby około 6 tysięcy znalazło pomieszczenie w Domach Studenta i na dobra sprawę pomieścić się nie może. Mimo, że pokoje widne i spore, bractwo upchnięte jest nierzadko po pięciu w jednym pomieszczeniu. Wprawdzie za parę lat ma być lepiej, ściślej mówiąc już w roku 1965, pokoje będą 2-3-osobowe, ale na razie na nowe domy na Bystrzyckiej i Żeromskiego nawet się muchy nie gonia. A tu jeszcze do tego stare, przypadkowe budynki służące za akademicki coraz częściej trzeba opuszczać, trudno, za parę lat będzie lepiej, my już tego nie doczekamy, pojedziemy w świat, a na razie jakoś żyć trzeba.

A żyć trzeba nierzadko za 360 zł miesięcznie. Przejmujecie Was to drżeniem. Czytelniczy? Za 360 zł miesięcznie czyli za 12 zł dziennie? Jak tu żyć?

A można, nawet całkiem niezłe, oczywiście, jeśli jest się studentem.

JAK SIĘ KARMİ GŁODOMORÓW?

Jesteśmy w stołówce Akademii Medycznej przy ul. Nowotki. Ogromna sala, balkony, najnowocześniejsza kuchnia. Luksus, wszystko aż lśni od czystości. Śniadanie —

Dalszy ciąg na str. 5

Z POCZĄTKU TROCHE O MOTORYZACJI

Na szosach i drogach miasteczek i wsi podłódzkich można w ostatnich latach obserwować znamienne zjawisko, o którym pisało się już i pisze do znudzenia, które jednak warto i należy odnotować raz jeszcze ze względu na jego masowość i znaczenie: jest to uderza-

jący, ciągły wzrost środków lokomocji mechanicznej, motocykli i rowerów.

Drogę przemierzają różnego rodzaju motocykliści. Widać m. in. modnisiów ubranych z niedzielną elegancją (granatowy garnitur marynarkowy, biała koszula, krawat) paradyż jeżdżąc z pretensjonalną (czytaj: wsiekleją) szybkością (przed oczami wracających

z kościola dziewcząt) i wyznaczają nieprawdopodobne popisy na kosztownych „Avo-Sportach” (cena około 27.000 zł), „MZ-etkach” (cena około 25.000 zł) lub „Jawach”, ładnych, czerwonych (cena około 24.000 zł). Widać również „sportowców”, którzy na skromnych krajowych WFM-kach (cena około 7.000 zł) w cągowych portkach i drelchowych

bluzach, ze swą kobietą na tylnym siodełku „pozerają” dziesiątki kilometrów, gnani nie tyle demonem szybkości, ile ambicją sportową i krajoznawczą.

Pochwalam tych ostatnich, lecz bardziej interesują mnie tutaj tamci pierwsi, którzy na swych „Avo-Sportach”, „MZ-etkach”, „Jawach” i „Panoniach” nie wychylają nosa poza

WACŁAW PIOTROWSKI

Czy zna pan(i) miasto Łódź?

Przypuszczam, że większość mieszkańców naszego miasta bez wahania odpowiedziałaby twierdząco, powątpiewając jednocześnie skrycie o sensowności postawionego w tytule pytania.

Gdy ktokolwiek z łodzian opowiada komuś obcemu o swoim mieście rodzinnym, mówi o znanych sobie ulicach, instytucjach, domach, ludziach, z którymi łączy go wspomnienie. Ale to co „składa się” na Łódź pana X jest na pewno czymś innym, aniżeli Łódź pani czy pana Y. Oczywiście, w wyobrażeniach naszych współmieszkańców o Łodzi znajdują się będą te same większe fragmenty czy szczegóły, jak na przykład ulica Piotrkowska, czerwono-kremowe tramwaje czy pomnik Kościuszki na placu Wolności. Porównując zatem jomość miasta, posiadaną przez różnych jego mieszkańców możemy założyć, że

im dalsze są ich miejsca zamieszkania, odleglejsze i bardziej zróżnicowane ośrodki pracy, interesów, rozrywek itp., im bardziej zróżnicowane społeczne środowiska stałych kontaktów, tym mniej podobne do siebie będą „ich Łódzie”.

Nie można się temu dziwić, bo proszę tylko sobie przypomnieć:

Łódź — ponad 21 tysięcy hektarów powierzchni,

Łódź — ponad 700 tysięcy ludności,

Łódź — około 1800 różnych ulic, itd. itd...

Długo można by jeszcze wyliczać różnorodne elementy, jakie składają się na wielkie miasto. A czyż można je wszystkie w całej ich masie poznać? Trudno nawet przypuścić, że istnieje chociażby jeden łodzianin, który by bodaj jeden raz w życiu przemierzył pieszo wszystkie ulice miasta. Ich (Dokończenie na str. 11)



Łódź pana Y-ka



JACEK LEBEN

Dzisiejszy świat porównują do beczki z prochem. Jak...

Sądzą, że bliższe prawdy jest porównanie świata z kotłem parowym.

Teraz słychać w świecie alarmowe syreny. Napięcie w kotle przekroczyło dozwolone granice.

Niemcy Zachodnie znajdują się w tej chwili u progu atomowych zbrojeń.

Wydarzenia ostatnich miesięcy dowiodły, że istnieją w Stanach Zjednoczonych i Niemieckiej Republice Federalnej bardzo wpływowe i wojownicze kółka wojskowe.

Działalność sił uważających wojnę światową za coś nieuchronnego.

Potwornie szybki proces koncentracji militarnych sił zniszczenia.

bomb — rakety są coraz szybsze, doskonalsze i różnorodniejsze.

W tej sytuacji zwykły ludzki rozum nakazywałby politykom — bezpośrednio obsłudze dyktando od napiecia kotła — wypuszczenie z niego nadmiaru pary.

Niestety, kierownicze kółka Zachodu zachowują się w tej sytuacji co najmniej dziwnie.

W takiej właśnie sytuacji rządy krajów socjalistycznych podjęły decyzję by na sesji ONZ kierownikami delegacji krajów socjalistycznych zostali przywódcy tych krajów.

Przywódcy Stanów Zjednoczonych odpowiedzieli na to taktyką którą można określić w dwóch słowach: faul i unik.

Przyjechali dlatego, że doceniają niebezpieczeństwo przed jakim stoi świat.

Na tej sesji NZ przyjętych zostało 12 nowych państw neutralnych.

Ograniczenie swobody ruchów premiera Chruszczowa to najbardziej znana z tych szykan.

Prezydent Tito był przedmiotem brutalnych napaści ze strony uczestników przygotowanej z góry demonstracji.

Szef delegacji kubańskiej wych ludzi, to znakomity popis trzeźwości i przedsiębiorczości.

Fidel Castro nie mógł znaleźć miejsca w hotelu, a wreszcie, kiedy zamieszkał w drugorzędym hotelu w murzyńskiej dzielnicy Harlem.

Wystarczy chyba przykładów. Dowodzą one niezwykłego zdenerwowania rządu amerykańskiego.

A unik? Prezydent Eisenhower według pierwotnej wersji w ogóle miał nie przemawiać na sesji Narodów Zjednoczonych.

Rząd amerykański nie życzył sobie przekształcenia bieżącej sesji ONZ w gigantyczną konferencję na szczycie.

Przyjechali dlatego, że doceniają niebezpieczeństwo przed jakim stoi świat.

Na tej sesji NZ przyjętych zostało 12 nowych państw neutralnych. Kraje Azji i Afryki stanowią już 45 procent wszystkich członków tej organizacji.

MINAŁ TYDZIEŃ

PSY PATRZĄ NA NAS

Państwo kupią gipsowego psa, to wierne zwierzę, to posłuszne zwierzę, nie szczeka, nie warczy, nie gryzie.

Gipsowy pies da się lubić, nie mówmy, że jest brzydki, ma wierne i mądre ślepię, patrzy i słucha i milczy.

Może jednak, proszę gazet, nie będzie tak źle, do królestwa kultury masowej pcha się dziś kto żywy.

Tu się pytam, co z gipsowym psem? Dejmek sam sobie poradzi, ale o psy trzeba walczyć.

PRZY PAROWYM KOTLE

sowym psem? Dejmek sam sobie poradzi, ale o psy trzeba walczyć. Parnella to się wpuści, tak? I projektantów z Cepelli też się wpuści, tak?

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ



SIMENON CZYLI NOWA SZTUKA

Kultura masowa, straszak, bieżący świat, katastrofa dla niektórych co subtelniejszych intelektualistów.

str. 2 Odgłosy

wych ludzi, to znakomity popis trzeźwości i przedsiębiorczości. Kisiel nie zalamuje rak, nie biadoli, nie szuka leków.

szty od Simenona), jeśli nie ma nadziei na przeforsowanie Wielkiej Improwizacji.

Może i warto, wszyscy wolimy Simenona od „Matysiaków”, dyskusja jest wszakże otwarta, Kisiel, potrzęsając nowości kwiatem, powiada że „nie uda się starej jakości wszczyć w nową ilość”.

OLEODRUK CZY ARCYDZIEŁO?

Bergman jest młody, to mało. Bergman jest także

popularny. Na Bergmana się chodzi, Bergmana się dyskutuje, zachycają się nim intelektualści.

Znamy nieźle twórczość filmową Bergmana, ostatni numer „Życia Literackiego” prezentuje nam Bergmana — pisarza.

ly teatralnej w Malmoe. Rządę także zapoznać się z drukowanym pobok „Malowidła” komentarzem Zygmunta Greña.

„Ostatnio — pisze Greń — wszedł na polskie ekrany film „Tam gdzie rosną poziołki”.

„Dokończenie na str. 9)

Autor niniejszego artykułu, dyrektor Stacji Pogotowia Ratunkowego m. Łodzi, będąc gościem Korpusu Ratowniczego Falcka zapoznał się z jego cennymi doświadczeniami w dziedzinie ratownictwa. O rewelacyjnych acz prostych metodach ratowania życia na użytek domowy i powszechny dr Jerzy Jasiński napisze innym razem.

JERZY JASIEŃSKI

Przedziwny



Pogotowie ratujące ludzi
zwierzęta i przedmioty



Nurkowie Falcka



Falck wydobywa konia z kanału

Samolot leci na północny zachód. Lot trwa dwie godziny i dwadzieścia minut. Po tym czasie ląduje się na lotnisku Kastrup na wyspie Amager. Na tej wyspie leży spora część Kopenhagi, uroczaj stolicy uroczaj Danii, liczącej dziś około 4,5 miliona ludności, z czego milion mieszka właśnie w Kopenhadze.

Życie, zdrowie i dobytek spokojnych, a wesołych Duńczyków i cichych, gospodarnych Dunek otacza swą opieką prywatna instytucja ratownicza, słynny „Falck Redningskorps”, która pokryła cały kraj siecią swych 106 stacji. W owych stacjach około 1300 ludzi dysponuje 1232 różnymi środkami lokomocji i transportu. Właśnie różnymi i tu trzeba zacząć od początku.

W 1906 roku „stary” Sophus Falck założył ten korpus ratowniczy, przy czym sam pomysł zrodził się z oczywistego, zda się, faktu, że podczas pożaru straż walczy przede wszystkim z ogniem i nie może skutecznie ratować dobytek i maszyny znajdujących się w płonącym budynku. Pan Falck postanowił ratować z płomieni i wody to, co da się uratować i zmniejszyć w ten sposób i tak dotkliwie straty pogorzonych. W miarę upływu lat wzrastała aktywność tego „pogotowia” i coraz bardziej rozszerzał się zakres jego czynności obejmując ludzi, zwierzęta i maszyny, rozszerzając stopniowo swą działalność z lądu na wody terytorialne, morze i powietrze. Obecnie szeroko rozbudowane przedsiębiorstwo prowadzi nadal potomkowie seniora Falcka, kierując swym personelem podzielonym na 8 stopni służbowych, umundurowanym i stale szkolonym.

A oto główne kierunki działania tego przedziwnego pogotowia ratunkowego:

Każda stacja „Falck” Redningskorps” dysponuje wozami straży pożarnej, zmotoryzowanymi dźwigami, ciągnikami, karetkami pogotowia ratunkowego, samochodami osobowymi i motocyklami. Nadmorskie stacje dysponują dodatkowo łodziami ratunkowymi i samorhodami, które są zaopatrzone w sprzęt dla nurków, tak by mogli oni już w czasie jazdy przebieierać się w skafandry do nurkowania.

Wszystkie pojazdy kołowe, łodzie i samoloty zgrupowane na lotnisku są zradiofonizowane i utrzymują stałą łączność ze swoimi stacjami. Tak przygotowana załoga jest stale gotowa do podjęcia najrozmaitszych prac.

Z płonącego budynku czy też z jego bezpośredniego sąsiedztwa Falck ratuje inwentarz, maszyny, modele, portrety rodzinne, cenne kolekcje i zbiory względnie inne rzeczy wymienione przez wzywającego pomocy. Ta ekipa ratownicza nie zajmuje się zupełnie gaszeniem pożaru. Przeciwnie działa inna, specjalna grupa Falcka

W przypadku nagłego zachorowania lub nieszczęśliwego wypadku jedzie do słownie natychmiast karetka, przy czym wypadek załatwiają specjalnie szkoleni ratownicy, zaś nagłym zachorowaniami zajmuje się lekarz. Widziałem szereg wypadków do wezwania do wyjazdu karetki upływa 20—30 sekund, dojazd do wypadku trwa około 4 minut.

Prospekty Falcka podkreślają, że stacje nigdy nie pytają, czy chory będzie mógł opłacić usługi pogotowia. Nie zapominajmy że Falck jest instytucją prywatną. Służba ambulansowa opiera się głównie na tzw. abonamentach, to znaczy, że obywatel opłaca rodzaj składki raz na rok (abonamenty są różne w różnych dzielnicach — wynoszą 60—120 koron; 1 dolar = około 7 koron duńskich) i taki obywatel ma prawo wzywać Falcka, do każdego wypadku, czy nagłego zachorowania w swoim domu i nie wtedy nie płaci. Każdy abonent otrzymuje do domu, również bezpłatnie, torbę doraźnej pomocy, zawierającą niewielki zestaw leków i opatrunków. O ile wzywa pomocy nie-abonent, opłaca on później odpowiednio czynności ratowników, lekarza czy też przewoź. Na podobnych warunkach Falck załatwia transport chorych w kraju i za granicą.

Można wezwać Falcka do każdego defektu w silniku na ulicy lub na szosie, na miejsce zderzenia z innym wehikułem, (bez ofiar w ludziach), do pękniętej dętki, zresztą do każdego kłopotu z maszyną czy motorem. Wzywa się telefonicznie lub w inny dowolny sposób. Najczęściej, do drobnych defektów przyjeżdża (również po kilku minutach) zradiofonizowany motocyklista — fachowiec mechaniczny i defekt usuwa. Jeżeli stwierdzi coś poważniejszego, wzywa sam przez radio wóz holowniczy z warsztatem i albo przy jego pomocy dokonuje naprawy, albo tymże

Sekcje ogniowe Falcka w większej zaludnionej okolicy rozrzucone są co 5—8 km, zaś w okęgach mniej ludnych co 20—25 km. Współpracują one z regularną służbą przeciwpożarową, jednak często same udzielały pomocy. Zaopatrzone nie w sprzęt i środki transportu oraz wyszkolenie załóg stoi rzeczywiście na wysokim poziomie. Charakterystyczne jest wyposażenie w broń palną — służy ona do zabijania zwierząt, o ile zostały przypadkiem uwięzione przez płomienie i nie mogą być wyprowadzone. To mówi samo za siebie. Poszczególne sekcje ogniowe są zobowiązane do udzielania

- Prewencyjne działanie przeciwpożarowe
- Pogotowie ratunkowe
- Pomoc dla kierowców
- Służba przeciwpożarowa
- Ratownictwo morskie
- Samoloty
- Wielkie katastrofy
- Ratowanie zwierząt
- Różne inne akcje

wozem uszkodzony środek komunikacyjny zostaje odstawiony do warsztatu, do garażu lub do domu właściciela wedle życzenia tego ostatniego. O ile w takim wypadku drogowym ktoś doznał uszkodzeń ciała, przyjeżdża, oczywiście, również karetka, która odwozi poszkodowanego do domu lub do szpitala zależnie od potrzeby. Wypadki wątpliwe rozstrzyga stale urzędujący tzw. lekarz-wizytator, który wie o wszystkim wolnych miejscach w szpitalach Kopenhagi czy innego miasta. (Drugim co do wielkości miastem w Danii jest Aarchus, gdzie mieści się zresztą szkoła nurków Falcka.

sobie wzajemnej pomocy. Widziałem w Koge pogorzelnisko, gdzie przy zwalczaniu dużego pożaru ścignięto pożarników z 7, o ile pamiętam, stacji okolicznych. W tymże Koge jest uroczą, stara knajpa rybacka „Skipper Kro”, gdzie serdecznie popiliśmy sobie pod krawędzi z p. Aage Rørmarkiem, szefem Instytutu Szkoleniowego Falcka, który „matkował” mi w Kopenhadze przy zwiedzaniu falkowskich agencji.

Falck „załatwia” wszystkie katastrofy przybrzeżne, do których wysyła swoje lo-

dzie, nurków, samoloty i zespoły mieszane. W przypadkach pożaru na jednej z licznych, małych wysp, kieruje się tam łodziami sekcje ogniowe.

Poza normalnymi przewozami drogą lotniczą, o ile zachodzi potrzeba szybkiego dostarczenia pacjenta do szpitala na operację lub specjalną kúrację, Falck transportuje za darmo swych abonentów, o ile taki pan zachoruje za granicą i życzy sobie być umieszczony w duńskim szpitalu, czy też być leczony przez lekarza w kraju. Delikwent telefonuje, leci po niego samolot i po paru godzinach jest już u siebie. (Np Næspol — Kopenhaga). Niezależnie od potrzeb służby zdrowia Falck utrzymuje szereg taksówek powietrznych i dla abonentów i dla innych chętnych.

Do dużych katastrof kolejowych ulicznych i portowych wyjeżdżają oprócz karetek pogotowia ciężkie wozy techniczne, dźwigi i wozy transportowe, przy czym załogi ich są zaopatrzone w maski przeciw dymowi, maski przeciwgazowe oraz w sprzęt do uwalniania przynięcionych ludzi i zwierząt. Falck współpracuje wtedy z policją i Czerwonym Krzyżem. W czasie akcji ratuje się ludzi i zwierzęta, usuwa zniszczone wozy, wstawia wagony na szynę i oczyszcza drogę — wszystko w możliwie krótkim czasie.

Ratowanie zwierząt polega z jednej strony na wydobywaniu zwierząt, które wpadły do kanałów np. portowych (dotyczy to przeważnie koni i bydła) lub w jakichś innych miejscach, z którego nie można ich łatwo wydobyć, z drugiej zaś strony na udzielaniu pomocy zwierzętom ranym lub chorym. Do tego celu służy specjalny ambulans weterynaryjny. Widziałem zestawy do humanitarnego usypiania zwierząt, ba nawet, klatki do usypiania ptaków (ulubiony kanarek).

TROCHE STATYSTYKI

Samoloty Falcka w 1959 r. były 3.216 godzin w powietrzu.

Woczne koszty własne 20 milionów koron duńskich.

Personel fachowy 1.200 ludzi + 400 ludzi personelu pomocniczego.

Usługi w 1958 roku (w 1959 wzrósł 5 proc.). Ogółem 600.000 z tego 240.000 dla chorych i poszkodowanych

1912 Duńczyków otrzymano pomoc za granicą

24 stacje mają służbę nurków.

Dzień i noc przez rok Falck wzywany jest przeciętnie co 52 sekundy.

Falck jest znaną i bardzo popularną instytucją. Zapewne dlatego jest wzywany do najrozmaitszych przypadków i zdarzeń.

Znawion, byk wyrwał się na wolność i pędził przez drogę — Falck albo go złapie i odprowadzi albo... zastrzeli. Małpa albo słoń uciekły z ZOO — Falck odprowadza je do klatek.

Labędź lub kaczka zmarzły na środku stawu — człowiek Falcka dociera do nich po cienkim lodzie i uwalnia je. Falck zdejmuję małego kota z dachu domu.

O ile ktoś zgubił klucze od mieszkania wzywa Falcka — przybyły specjalista sprawdzi tożsamość wzywającego i przez otwór skrzynekki do listów drutem odrygluje drzwi w sobie tylko wiadomy sposób.

Jak podaje prezydent V. Falbe-HANSEN zdarza się, że ktoś telefonuje do Falcka po... czwartego do brydza!

Długo by można tak wliczać! Jednak trzeba jeszcze dodać, że Falck rozwodził dniem i nocą dawców krwi do szpitali prowadzi własną szkołę ratownictwa medycznego i przeciwpożarowego i wypracował w niej własne metody działania, współpracuje z szeregiem zagranicznych Automobil-Klubów udzielając pomocy Duńczykom za granicą i obcokrajowcom w Danii. No, wystarczy!

Wystarczy by razwać tę instytucję „przedziwną”. Nie wątpię, bardzo byłoby trudno zorganizować podobną instytucję u nas. Nie wiadomo zresztą, czy byłoby to celowe i słuszne. Różnice struktur politycznych, gospodarczych i społecznych są decydująco duże. Nie mniej nie można nie schylić głowy przed wysiłkiem 4,5 milionowego narodu, który zdołał powołać do życia taką organizację jak „Falck Redningskorps” i tak gościć i serdecznie przekazuje każdemu obcemu przybyszowi swoje doświadczenie w walce z każdą awarią.

Samolot leci dwie godziny i dwadzieścia minut na południowy wschód. Warszawa i Łódź.

JERZY WALEŃCZYK

RASTIGNAC w Warszawie

(Felieton powiatowy)

Nie, nie jestem Rastignakiem w Warszawie, a może nim jestem, lub chciałbym zostać. Mam wprawdzie trochę rękopisów, nawet sporo, ba, parę kilo tego będzie, podaje teczkę znajomym, reka z teczką im opada i śmieje się. Ciężar gatunkowy jest. A ciężar gatunkowy, to rzecz najważniejsza.

W Warszawie wśród młodych pisarzy jest sporo Rastignaków, pół-Rastignaków i ćwierć-Rastignaków. Ich drogi awansu literackiego i społecznego są różne. Oto jeden z nich, z sąsiedniego łóżka w pokoju Domu Związku Literatów na Krakowskim Przedmieściu. Wynyka się na całą noc, wraca z „katzem”, zniszczony. Wspomina jakieś mieszkanie na Targówku, gdzie go zaprosiła dziewczyna. Pochodzi ze wsi kujawskiej, ma dzinsy, kolorowe koszule, mandoliny i walizkę z etykietami hoteli z miast całej Europy. Paryż, Moskwa, Medyna, Wenecja. Zapewne jest to w jakiś sposób również bagaż zamilowań i upodobań. Walizkę podarował mu Artur Maria Świnarski.

Rastignak z Kujaw ma duży, zielony ręcznik kąpielowy z wyhaftowanymi zajączkami, które wdzięcznie skaczą. Ręcznik wygląda mi jakobardzo familijnie. Rastignak z Kujaw ma kłopoty pieniężne, na codzień chodzi bardzo skromnie ubrany, ale jest właścicielem najdroższego pedzla do golenia za 160 złotych z autentycznej sierści dzika, a może z „grubego zwierza literatury, w którego sierści skaczą drobne pchełki literackie”, jako rzeczki Andrzej Brycht w „Kierunkach” (podobno miał już wymierzyć K. O. całej młodej warszawskiej literaturze w następnym artykule, ale mu nie wydrukowali).

Młodzi w Warszawie dyskutują i nudzą się. Nie wiadomo, co robią gorzej, z większą pasją i namietnością. Pewien młody poeta ze „Współczesności” wezwał cały zespół do podania się do dynamisty, ale nikt nie kwapił się do podjęcia tego apelu i zastosowania się do niego. Tenże młody poeta ponadto siłkół antyczna porcelana pewnej pani. Popelniał również nietakt. Gruby nietakt. Mianowicie, inną panią, przyjeżdżającą, która miała przy sobie 5 tysięcy złotych zostawił swojemu losowi na pastwę miasta. Wypiliśmy po malej wódce i mówił mi, że już Pan Bóg miesza się w jego sprawy. Dostał piękny pokój, ale okazało się, że dom należy do Kościoła Polsko-Katolickiego i w tym pokoju zakładają kaplice.

A miał być bar małeńki i autentyczne barowe stolki. Ale wzór Rastignaka nie jest jedynym wzorem funkcjonującym w młodej Warszawie. Działa również odwrócenie tego wzoru. Niektórzy wyjeżdżają do Koszalina. Po co? Żeby tam zarobić.

Nie jestem anty-Rastignakiem, chociaż czasami namawiają mnie w Łodzi, abym jechał do Olszyna, czy gdzie indziej, (nie wiadomo po co), ale zaraz dodają, no, trzeba wszystko spokojnie rozważyć, przecież nie jesteśmy ostatni rok w Łodzi.

Nocą ktoś puka do naszego pokoju. „Kto pan jest — pytam zasnany”. „Pisarz jestem — odpowiada postać i skarży się na ból głowy, wy-

jaśniając, że mieszka za daleko i zabrakło pieniędzy na taksówkę”.

Ten również ze sławetnego rodu Rastignaków. Pseudonim: Umberto Pesco, autor potężnego kryminału „Ryba płynie za mordercą”.

„Wiesz, cztery dni dyktowałem, rozumiesz”. Następnie sjarczyście zaklecie, którego ze względu na poetykę felietonu nie mogę powtórzyć. To Rastignak z Krakowa. Półtora roku nie płacił za mieszkanie w Domu Krakowskiego Związku Literatów, gdzie, jak powiada, jego przyjaciółki złożyły autentyczny burdel i Związek skarżył się, że jakieś indywiduum podejrzane ciągle się kręca.

To dobrze, że Rastignak z Kujaw nie wrócił na noc, łóżko jest wolne.

Rano dowiaduje się, że sprawy literackie ma poważnie zaawansowane, że ma sztukę w pięciu teatrach, i zarobił ostatnio 10 tysięcy. Odechodząc pyta mnie, czy nie pożyczylbym mu 5 zł na śniadanie. Powiedziałem, że nie. Ja też poczułem się Rastignakiem. Oto rezultaty poczucia pokrewieństwa.

Nielatwo jest partycypować w tworzeniu kultury, a szczególnie trudno jest partycypować w kulturze warszawskiej. Łódzka Szkoła Plastyka również partycypowała w „Zachęcie”. Gdzie można nabyć te cuda, pytają ludzie, zwiędzający wystawę? Cera mika zwłaszcza miała duże powodzenie oraz tkaniny dekoracyjne. Chwalono, wiele pochwał zebrała suknia estradowa Miroty, pracowni K. Preyzner, plansze Holówki, tkaniny prof. Tyszkiewicz. „Dziękuję za naukę dekoracji własnego domu” mówi robotnik fabryczny w ankiecie, na temat wystawy, a wszyscy są na ogół zgodni, że to są ładne rzeczy i powinny być w sklepach.

A oto coś, co może zainteresować Łódzką Szkołę Plastyka. Dyr. ekonomizno-handlowy pisze w ankiecie: „Czekamy na oferty, na wasz apel obsadzenia pięciu praktyk trzymiesięcznych po 2.000 zł w Zjednoczeniu Przemysłu Tworzyw Sztucznych i Lakierów w Gliwicach, ul. Zwycięstwa 21, V piętro, pokój 521, tel. 37-75”.

Może to jeszcze aktualne? Prowincjusz w Warszawie powinien wiedzieć, kto z kim się, powinien wiedzieć, jak to Andrzej Wirth w kawiarni Związku Literatów spoliczkował Andrzeja Dobosza, który pomógł go o plagiat z Dürrenmatta, jak to można prowadzić i wygrać procesy literackie, jak to Waldemar Kiwiłko, ex-lodzianin, również Rastignak nieco starszy daty, specjalizuje się w procesach literackich, toczy kampanie z filmem, wygrywa je i podejmuje coraz to nowe.

Rastignak w Warszawie musi mieć kredyt zaufania. Na ogół chętnie go tu udziela, zwłaszcza wtedy, kiedy nie jest poparty kredytem pieniężnym.

Rastignak nie może też spaść jak deus ex machina. Zgadza się tu, że największe dzieła literatury polskiej powstawały jednak na prowincji.

Szeroki oddech, lapidarność form, oczywistość truizmów, bez skłonności do mitologizowania, ten wiatr chłodny od Wisły, ten zaciemniony kacił w „Niespodziance”, to mardobicie w „Małekinie”, ta kawkka w „Alhambrze”, bezkonkurencyjna, najlepsza w Polsce, to pozdrowienia dla przyjaciół z Łodzi...

SPÓR O WIKARIUSZA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

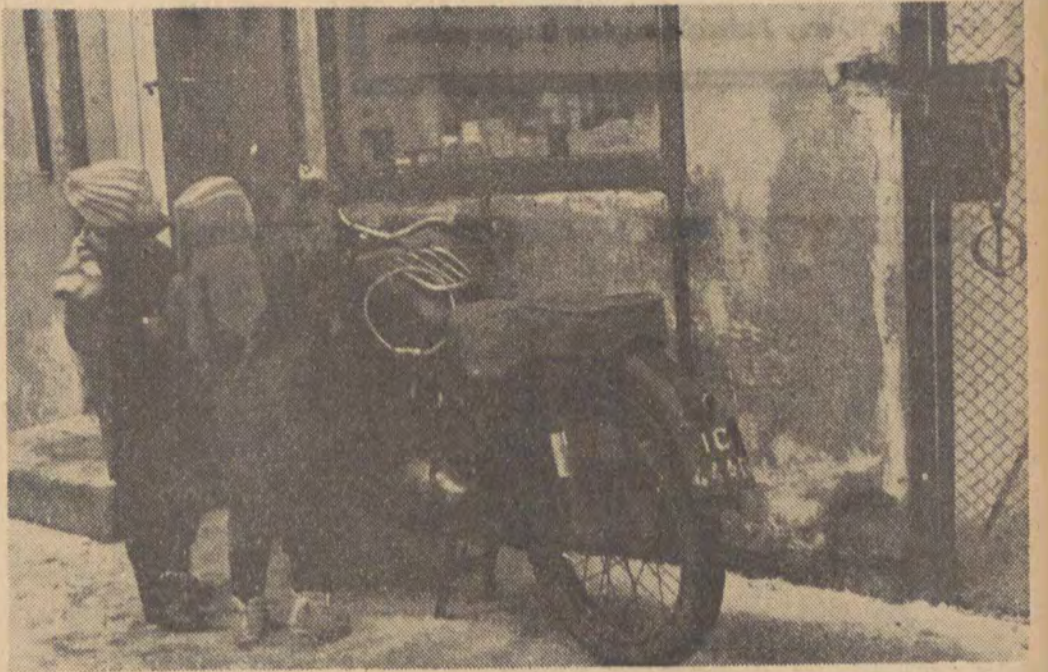
— chałupnik w jednej osobie. Oto znak czasu! Takim znakiem czasu jest również i to, że na drogach i szosach wiodących do stolicy chałupnictwa włókienniczego, jaką jest Belchatów, w określone dni wyplat lub wydawnia przedy (wtorki i piątki) przez spółdzielnię pracy „Czyn Majowy” chałupnikom, spotyka się raz po raz motocyklistów i roweryzistów, pedałujących zawzięcie ze zwojami barwnych tkanin na kierownicach, albo wałkami bawełny lub wełny na bagażnikach. Nie tak to dawnymi czasy bywało! Pora więc napisać słów parę

O CHALUPNICTWIE W BELCHATOWIE

Reportaż nie jest traktatem ekonomicznym ani rozprawą socjologiczną, więc tylko pobieżnie warto przypomnieć, że przed wojną nakładcy, dostarczali malarolnym (którzy nie mogli wyżyć z gospodarstwa z powodu katastrofalnie niskich cen piódoł rolnych i dorabiali sobie pracą na prymitywnych warsztatach, ręcznych krosnach) przedę do wytkania placąc marne grosze za wyprodukowaną tkaninę i zabierając do odsprzedaży hurtowej gotowy towar, na którego cenę rynkowa składała się: koszt surowca, praca chałupnika i zysk nakładcy; z tych trzech elementów — kosztów, pracy i zysku (wzysku) — trzeci stanowił w cenę rynkową rewolucyjną część. Rewolucja przedęła nakładców-wyzyskiwaczy i od 1948 roku przedę między chałupnikami zaczął rozdzielać cech tkaczy, który w 1949 r. przekształcił się w różne spółdzielnie pomocnicze: „Włókniarz”, „Tkacz”, „Przyszość”, te zaś z kolei połączyły się tworząc dzisiejszą potęgę belchatowską finansowo-ekonomiczną, jaką jest wspomniana na początku spółdzielnia pracy „Czyn Majowy”.

Pisząc „potęgą” nie przesadzam i dla ilustracji zaznaczam, że wyprodukowane przez belchatowskich chałupników bajecznie kolorowe tkaniny (nartury, serwety, kapy na łóżka itp. z wigonii i sztucznego jedwabiu) są eksportowane przez „Czyn Majowy” do Anglii. Jugosławii i Związku Radzieckiego, co nam przynosi tak cenne i pożądane dewizy. Na mój gust te tkaniny są „za ładne” (zbyt kolorowe, w dawnym mieszczańskim stylu, kiedy to mieszkania były zapechane portretami, narzutami, kapami, serwetkami). No, ale skoro podobają się Anglikom, Jugosławiom i towarzyszym radzieckim, to powinniśmy być z tego zadowoleni.

Zwiedziłem parę warsztatów tkackich w okolicznych wsiach pod Belchatowem, w Drużbicach, Kurnosach i innych, i byłem zdziwiony prymitywizmem ręcznych krosien z drewna, sznurków i różnych doszukiwanych własnym przemyśleniem części podpartych albo obciążonych cegłą lub zwykłym polnym kamieniem. Takie ręczne krosno to na pierwszy rzut oka — stary zdezelowany grak. Dlatego zdumienie wręcz ogarnia widok bajecznie kolorowych tkanin o skomplikowanych deseniach i wzorach, które na tych rozklekotanych gratakach potrafią wytkać chałupnicy belchatowscy, prawdziwi mistrzowie z bożej łaski, dokonujący cudów zręczności i pomysłowości przy pomocy rąk i nóg wprawiających w ruch krosna.



Fot. Z. WALTER

W tej nieoficjalnej stolicy chałupnictwa włókienniczego, w Belchatowie zdarzył się na początku stycznia 1959 r. fakt, który poruszył opinię w całym powiecie.

PROBOSZCZ I WIKARIUSZ

Historia, jaka się wydarzyła na plebanii belchatowskiej, posiada wyraźny posmak sensacji i przed jej zrelacjonowaniem wymaga dokonania pewnych zastrzeżeń. Do prasy przenikają co pewien czas z różnych stron Polskiej wiadomości o duchu fanatyzmu i nietolerancji podsycanych przez proboszczów wiejskich. Z drugiej strony, opinia publiczna mało wie o życiu kleru, życiu alumnów w seminariach duchownych, które jest osłonięte do tego stopnia tajemniczością, że prawie nie o nim powiedzied nie można. Przeciwny obywatel może sobie wyobrazić, iż zna mniej więcej styl życia prywatnego inżynierów, adwokatów, lekarzy, uczonych, meźów stanu, działaczy społecznych itp. Jedną tylko warstwą jest hermetycznie zamknięta przed oczami i kontrolą opinii publicznej — jest nią duchowieństwo. I jest nią okazji sensacyjnych wydarzeń notowanych przez prasę, przeciekają do wiadomości publicznej fakty, z których można fragmentarycznie odtwarzać a raczej domyślać się stylu życia i warunków polskiego kleru.

Prasa literacka zwróciła ostatnio uwagę na atrakcyjność tematu z życia kleru. „Wiatrak”i „dodatek literacki bydgoski” „Faktów i myśli” w artykule Z. Stojewskiego piszą o tej kopalni tematów: „Pisarz... mijając kościoły Wizek, Karmelitów, Bernardynów... po prostu ociera się o egzotykę, mijając kopalnie wielkich, mało zbadanych... literacko niezwykle atrakcyjnych spraw. Przeniknijmy w ten zamknięty dla nas świat, w tę egzotykę, o którą ocieramy się codziennie. Breza mógł przekroczyć szpiową bramę Watykanu. Można przekroczyć bynajmniej nie szpiową bramę metropolitarnej kurii. Zejdźmy niżej. Do klasztorów i probostw, zagłębmy się w mrowisko Dominikanów, Benedyktynów, Karmelitanów Bosych, Jezuitów, Kapucynów, rzeszę księży świeckich i zakonnych. Zejdźmy niżej i zobaczmy, jak żyją, o czym myślą braci szkieł i siostry. Zbadajmy ten ogromny stos problemów, dramatów, spraw”.

Wydarzenia belchatowskie rzucają snop światła na sto-

sunki panujące wśród księży i godne są odnotowania tym bardziej, że rozegrały się w środowisku tkaczy, chałupników, oraz wśród mieszkańców małego miasta i okolicznej ludności, której poziom życia kulturalnego jest w pewnej mierze zależny również od wpływów, jaki wywierają na tę ludność duszpasterze.

Wiarygodność informacji opieram na wynurzeniach byłego księdza — wikariusza G. oraz relacjach mieszkańców Belchatowa. Jedną z bardziej interesujących spraw w związku z omawianymi wydarzeniami jest sprawa wyposażenia katechetów i poborów kleru z tzw. igras stolarz. Przypadek sprawił, że ksiądz G. pełnił funkcję katechety zarówno w parafii w Sulejowie, jak i w Belchatowie, przy czym w obu parafiach traflamy na analogiczne konflikty, a więc w Sulejowie cały ciężar nauczania religii w szkołach spadł na barki młodego wikariusza G. Proboszcz ksiądz S. z niewiadomych przyczyn uchylał się od podjęcia obowiązków nauczycielskich. Wikariusz nie mógł sprostać obowiązkowi, ilość godzin wykładowych, po prostu przerastała możliwości jednego człowieka. W rezultacie, w szkołach tworzyły się mówiąc językiem nauczycielskim „okienka” czyli wolne godziny nie wypełnione przewidzianą w planie lekcją religii, w tym czasie nie zatrudniona młodzież platała figle, przeskakała w nauce uczniom innych klas.

Kierownicy szkół zwracali się z pretensjami do wikariusza. Proboszcz S. zbywał prośby swego subalternego wrzuceniem ramion. W końcu, „prześciśnięty do muru” przez nauczycielstwo wikariusz dał znać do kurii biskupiej. Był to błąd nadgorliwości ze strony młodego księdza, który powinien był pozostawić tę inicjatywę kierownikom szkół. Rezultat był łatwy do przewidzenia. Oburzony proboszcz S. spowodował przeniesienie wikariusza G. do innej parafii. Dlaczego jednak kuria wg. zasad elementarnej sprawiedliwości nie przeniosła raczej proboszcza? To pozostanie dla laików tajemnicą. Ostatniego dnia, przed opuszczeniem Sulejowa wikariusz G. odprawił mszę, ale Ewangelię nie pozwolono mu już odczytać. Przyjaciel proboszcza S. ksiądz z Piotrkowa wszedł na ambone i w momencie, kiedy wikariusz przystąpił do odczytania tekstu Ewangeli, duszpasterz piotrkowski zaczął donośnym głosem pra-

wie kazanie (czyżby obawiano się, że popularny i cieszący się sympatią ludności wikariusz G. powie po odczytaniu Ewangeli, na pożegnanie słowa gorzkiej prawdy?)

Oburzona zachowaniem się przybyła z Piotrkowa część wiernych wzięła po nabożeństwie przyjaciela proboszcza, księdza z Piotrkowa pod rękę i wyprowadziła z terenu kościelnego, prosząc żeby nie pokazywał się więcej w Sulejowie jako „persona non grata”.

Po tych zajściach wikariusz G. został przeniesiony do Belchatowa, gdzie również pełnił obowiązki katechety i gdzie również oddawał połowę wynagrodzenia z tego tytułu proboszczowi, nie pełniącemu obowiązków nauczycielskich. Na jakie cele szły kwoty potrącone wikariuszowi? Czy na cele celne, czy do kieszeni proboszczów? W obu wypadkach oburza podobna praktyka, gdyż zabieranie człowiekowi połowy pieniędzy, to przecież robenie z niego białego Murzyna.

Na marginesie warto wspomnieć o dochodach księży proboszczów, plebanów i dziekanów. Mój rozmówca ex-ksiądz G. twierdzi, że dochodzą one osmiu do dziesięciu tysięcy miesięcznie. Kler byłby więc jedną z najlepiej uposażonych warstw w Polsce Ludowej. Wikariusz w małym powiatowym mieście jak Belchatów o siedmiu tysiącach mieszkańców otrzymuje z tytułu uposażenia 2.700 złotych miesięcznie. Jak na jedną osobę celibatariusza bez obowiązków rodzinnych, jest to chyba w porównaniu z zarobkami osób pracujących fizycznie lub umysłowo zadziwiająco wysokie uposażenie. W związku z tym (na marginesie!) nasuwa się wątpliwość, czy — abstrahując od osób, opowiadanych szczerze powołaniem — dla masy alumnów (zwłaszcza ze środowisk malarolnych) te wysokie zarobki nie są magnesem przyciągającym ich do seminariów duchownych.

Trzeba stwierdzić obiektywnie, że wikariusz belchatowski, ksiądz G. nie uległ urokowi swej gaży i potrafił w imię wyższych wartości moralnych zrezygnować ze swego świetnego uposażenia.

WL. RYMKIEWICZ
DOKOŃCZENIE
W NAST. NUMERZE



Dalszy ciąg ze str. 1

dwie butki z masłem i wedliną, biała kawa bez ograniczeń — cena 2.50 zł. Obiad z trzech dań — 4.30 zł. Kolacja: zupa, chleb, masło, wedlina — 2 zł. Takie same menu w stołówce na Bystrzyckiej — uznanej przez studentów za królową wszystkich stołówek. Lokal pod psem, ale co za jedyń! Razem — koszt całodziennego utrzymania wynosi 8.80 zł. Tyle kosztuje studenta — stypendystę. Bo stołówka kosztuje znacznie więcej, student płaci część, różnicę dokłada państwo. Oczywiście dotyczy to tylko stypendystów, ale tych jest wśród łódzkich studentów większość.

W związku z tym wyliczeniem warto zaznaczyć, że nie wszystko tu jest jednak w porządku. Przed paroma miesiącami w związku z podniesieniem cen na mięso, obiady zdrożały z 3.50 zł — na 4.30. Oczywiście państwo dopłaca o ileś tam groszy więcej. Natomiast odpłatność za śniadania i kolacje nie zwiększyła się. Aby pomieścić się w budżecie, stołówki zmuszone były zmniejszyć ranną i wieczorną porcję masła i wedliny. Sprawa trzeba uregulować podobnie jak z obiadami. Rzecz musi być zalatowana w skali państwowej, ale warto zaznaczyć, że to właśnie Łódzka Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich przynagła odpowiednio czynniki do załatwienia tej ważnej kwestii. Poza tym iada się, na dobrą sprawę, byle gdzie.

Stołówka na Bystrzyckiej mimo znakomitej kuchni ma lokal fatalny, jakiś miżerny barak, pozostałość po budowie. Ale oto kolegium rektorów łódzkich uczelni oraz Rada Okręgowa ZSP wystąpiły do Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego o zbudowanie na Bystrzyckiej domu społeczno-usługowego, gdzie mieścić się będzie: stołówka, dla całego osiedla, przychodnia lekarska dla studentów, szpitalik, pracownia krawiecka i szewska, kawiarnia, klub i sale świetlicowe. Gmach ma powstać kosztem 35 milionów złotych (!) z funduszy Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego, Ministerstwa Zdrowia i Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi. Jeżeli dobrze pójdzie, całość znajdzie się pod dachem w roku 1964.

Ponadto do czterech czynnych na Bystrzyckiej Domów Studenta i piątego, który wkrótce zostanie uruchomiony, przybędzie drugi z kolei Dom Politechniki przy ul. Żeromskiego. Tak więc w roku 1965 Łódź mieć będzie ogółem 7 nowoczesnych domów akademickich, z których każdy pomieścić może około 700 studentów. Skoro wiemy, gdzie żyją studenci, zobaczymy, za co

żyją... Otóż w zakresie stypendiów dokonano w ostatnich czasach zmian, które na ogół uszły uwagi społeczeństwa. Miejsce dawnych stypendiów zajmują coraz częściej tzw. „stypendia fundowane” przez poszczególne instytucje, przedsiębiorstwa, rady narodowe i organizacje w kraju. Odbywa się to w sposób następujący. Student za pośrednictwem swej uczelni spisuje umowę z instytucją. Na mocy tej umowy zobowiązuje się po ukończeniu studiów do pracy w zakładzie w okresie nie krótszym niż ten, przez jaki otrzymywał stypendium. Ta forma stypendium jest bardzo korzystna dla obu stron, pod warunkiem wszakże, że instytucje będą zapewniały absolwentom mieszkania. W tej sprawie oczekuje się nowej do pierwotnej wersji rozporządzenia Rady Ministrów.

O stypendiach fundowanych mówię tu jeszcze i dlatego, aby zachęcić instytucje i przedsiębiorstwa do występowania z inicjatywą stypendialną do poszczególnych łódzkich uczelni.

GRA DO JEDNEJ BRAMKI

Tak więc żyją studenci w okresie przeznaczonym z wieku i obowiązku na przy-

Czy można na to znaleźć jakąś radę? Owszem, można. Przede wszystkim konieczna jest ścisła współpraca między poszczególnymi zakładami tego samego wydziału dla rozsądnego zsynchronizowania wszystkich ćwiczeń i wykładów. To pierwsze. Po drugie, dokładniej i z większym rozmysłem układać należy terminarzyk kolokwium i egzaminów. Jestem zdania, że sprawy te powinny się znaleźć w centrum zainteresowania Zrzeszenia Studentów Polskich. Zrzeszenie jest przecież czymś w rodzaju Związku Zawodowego, a sprawa warunków pracy jest z dawien dawna naczelną troską każdego podobnego związku.

Jest wreszcie sprawa, którą warto poruszyć. Ogólnie mówi się o tym, że profesorowie mogliby zrezygnować z części obowiązkowych wykładów. Idzie mi o kontrahenta, którym jest przemęczony, zapracowany student. Sądzę, że sprawę tę weźmą pod uwagę poszczególne dekanaty przy rewizji planu zajęć. Aby było jasne: idzie tu o pewne wykłady, które w całości ujęte są w podręczniki i skrypty, wystarczające dla przygotowania się do egzaminów.

Warto by poza tym rozpatrzyć krytycznie pewien



Dom Studenta U. Ł.

menty takie nie wydały mi się przekonujące. Ostatecznie nie chodzi o to, aby na odczyt, pogadankę czy dyskusję zważyło się pół osiedla. Na początek wystarczy i 30 osób. „Proszę pana, odpowiadano mi, coż z tego, że na jakiś odczyt ściąganie się niemal siłą 20-30 osób, kiedy na drugi raz znowu nie chce nikt przyjść dobrowolnie. Mimo że poprzednia pogadanka badzo się uczestnikom podobała. Nie ma na to lekarstwa”.

Nieprawda, jest lekarstwo. Przede wszystkim imprezy takie organizowane muszą być cykliczne, w określone dni tygodnia. Wówczas wytworzy się wokół nich at-

menty takie nie wydały mi się przekonujące. Ostatecznie nie chodzi o to, aby na odczyt, pogadankę czy dyskusję zważyło się pół osiedla. Na początek wystarczy i 30 osób. „Proszę pana, odpowiadano mi, coż z tego, że na jakiś odczyt ściąganie się niemal siłą 20-30 osób, kiedy na drugi raz znowu nie chce nikt przyjść dobrowolnie. Mimo że poprzednia pogadanka badzo się uczestnikom podobała. Nie ma na to lekarstwa”.

PARĘ UWAG SZCZEGÓŁOWYCH

Dla zapewnienia studentom warunków spokojnej gromne sumy administrowane przez dyrekcje poszczególnych uczelni. W pierwszej linii tego odcinka pracują administratorzy ogromnych Domów Studenta, któ-

u zbiegu Nowotki i Bystrzyckiej wymaga poczekalni. Nie wystarczy tu zwykła osłona przed deszczem. Młodzież jest wrażliwa i skłonna do chorób, a ponadto dostatecznie lekkomyślna, gdy idzie o ciepłe ubrania. A temu, kogo nie stać na zwykłą, ludzką serdeczność trzeba uzmysłowić, że każde opóźnienie w studiach kosztuje państwo mnóstwo pieniędzy i opieka nad studentami jest po prostu naszym obowiązkiem.

W końcu sprawy niebagatelne: estetyka całego osiedla na Bystrzyckiej. Po niemieckim parku artyleryjskim odziedziczyło ono kilka szpalerów pięknych tułów, z tyłu rozciąga się południowy pejzaż w kierunku Stoków, — jest to jeden z ładniejszych zakątków Łodzi, korzystny również pod względem zdrowotnym. Tym bardziej warto zadbać o trawniki i pomyśleć o krzewach i klombach, których nie ma ani na lekarstwo. I znowu — warto się zastanowić co można zrobić jeszcze w tym roku, nie czekając ze wszystkim do wiosny. Oczywiście, nie należy zapominać, że wiele czynności w tej mierze mogą wykonać studenci własnymi siłami. Jest to zadaniem przelanych organizacji ZMS, aby zaktywizować mieszkańców Bystrzyckiej. Niemniej nie obejdzie się bez nakładów finansowych, fachow-

JESLI SIĘ JEST STUDENTEM...

gotowanie się do całego życia. Na marginesie spraw nauki nasuwa się kilka refleksji.

Nierzadko profesorowie zarzucają młodzieży brak społeczno-usługowości, lenistwo, nieumiejętność organizowania sobie czasu i nauki.

Nie chcę negować tych zarzutów, zawsze jestem skłonny się zgodzić, że młodość jest głupia — choćby dlatego, żeby mi nie było żal, że wyrosłem z tych lat, ale — bądźmy sprawiedliwi. Organizowanie dnia nie jest łatwe. Jak rozłożyć sobie czas, kiedy się wraca o szóstej, siódmej, a czasami i o dziewiątej wieczorem po całodziennym odświu trwającym dniu zajęć? Za co się weźmiesz, biedna dziewczyno, czy będziesz pracować, czy będziesz czytać, czy będziesz czytać? Czy znowu już trzeci dzień z rzędu odłożysz to wszystko na jutro i weźmiesz się za książkę? A kto umyje za ciebie głowę? I tak dalej i tak dalej — pomyślcie: student zwłaszcza na niektórych uczelniach jest cały dzień zajęty na mieście!

utarty obyczaj zasadzający się na określonych rozporządzeniach. Oto, w czym rzecz:

Rok akademicki dzieli się, jak wiadomo, na dwa semestry. Warunkiem uczęszczania na następny semestr jest zaliczenie wszystkich ćwiczeń i kolokwium. W przeciwnym wypadku następuje skreślenie z listy studentów. Bywają jednak wypadki (częste!), że studenci przechodzą na następny semestr warunkowo i w trakcie nauki uzupełniają zaległości. Otóż mimo warunkowego dopuszczenia do następnego semestru z zasady cofa się im stypendium. Jestem zdania, że rozporządzenie regulujące tę sprawę jest okrutne. Jeżeli daje się studentowi możliwość zaliczenia roku, nie można mu zarazem rzucać kłód pod nogi w najcięższym dlań okresie zimowo-wiosennym. 360 zł stypendium jest częstokroć jedynym źródłem utrzymania i ledwie wystarczy na opłacenie stołówki. Czyżby naprawdę nikt z działaczy studenckich nie zauważył dotąd paradoksalności tego obyczaju? Czyżby działaczami związkowymi były same „kujony” i sami prymusi z bożej łaski?

PARADOKSÓW CIĄG DALSZY

Obserwowałem życie młodzieży na Bystrzyckiej dzień w dzień przez kilka miesięcy. Po paru tygodniach jedna rzecz występuje bardzo jaskrawo: brak zorganizowanego życia kulturalnego, mam na myśli pogadanki, odczyty, dyskusje, wieczory autorskie i tym podobne rebrania. Znajdujemy się przecież w przeszło 3-tysięcznym skupisku skoszarowanej młodej inteligencji, która o zmierzchu na ogół powraca do osiedla. Niestety, w tej mierze nie a nie się nie dzieje. Nie tylko wiosną, co byłoby jeszcze zrozumiałe ze względu na... na egzaminy, oczywiście, ale i w długie, zimowe wieczory.

Poruszałem tę sprawę z wieloma rozmówcami i słyszałem w odpowiedzi: — młodzież jest przemęczona nauką, nie odczuwa głodu wiedzy ogólnej, ma bardzo zawężony horyzont, Argu-

mosfera zainteresowania, która przyciągnie coraz liczniejszą grupę stałych uczestników. „Ba, ale kto to ma organizować?” — pytano. „Rady mieszkańców poszczególnych domów nie ruszą nawet palcem w tym kierunku”. Dobrze — pytam. A Zrzeszenie Studentów Polskich? — „No cóż, oni prowadzą Klub na Piotrkowskiej 77, organizują tam dużo imprez i pochłania ich to całkowicie...”

rej to funkcji chciałbym poświęcić kilka słów.

Kierownik domu studenckiego nie jest — a przynajmniej nie powinien być — jedynym administratorem. 700 młodych charakterów wymaga odeń swoistych zdolności w utrzymaniu własnego autorytetu. Zakłócanie spokoju, spory między mieszkańcami, przejawy nieobywatelskiego czy niegodnego studenta zachowania — leżą z natury rzeczy w gestii kie-



Czytelnia Biblioteki Uniwersyteckiej.

Otóż to — tu właśnie jest centrum nieporozumień. Trzeba zdać sobie jasno sprawę z tego, że imprezy pod „77” są imprezami ekskluzywnymi, odbywającymi się na marginesie rzeczywistości życia młodzieży studenckiej. Byłem o tym przeświadczony od samego początku, dziś żywie przekonanie, że stan ten utrzyma się mimo wszelkich wysiłków. Rzecz w tym: kawiarnia, do tego kawiarnia luksusowa jest czymś, co dla pewnej liczby studentów i dla przeważającej liczby studentek jest zaklętym rewirem, czymś na pograniczu odświeżonego obchodu i moralnie ryzykownego postępu. Mnóstwo dziewcząt pochodzi z małych wsi i miasteczek i ekskluzywnie imprezy bynajmniej nie wciągają ich w życie wielkiego miasta, ale pogłębiają poczucie upośledzenia. Hasło: „w teren” będzie tu jak najbardziej na miejscu. Warto je rzucić Radzie Okręgo-

rownika domu, który rozstrzyga je z urzędu lub przekazuje władzom uczelni. Jest to więc bardzo ważne stanowisko pedagogiczne. Tymczasem administrator domu kierujący nierzadko 25-osobowym personelem jest nie tylko przepracowany, ale poza tym nisko uposażony. Stanowisko kierownika domu powinno być obsadzone w drodze konkursowej, ale w takim konkursie trzeba więcej nieco pomyśleć o wynagrodzeniu.

Największe skupisko domów akademickich mieści się przy ulicy Bystrzyckiej. Najwyższy czas, by odnośne przedsiębiorstwa komunalne zajęły się uporządkowaniem okolicy. Dojście do przystanku jak również odcienie do mu tonie miesiącami w rozmokłej glinie. Studenci nie mają kilku par butów na zmianę. Radzimy wziąć się do roboty, bo w listopadzie będzie za późno. Podobnie nowy, przesunięty przystanek

ców-ogrodników oraz pracowników drogowych.

Oto niektóre sprawy życia społeczności studenckiej. W paru słowach jedynie potraktowałem problemy kulturalne, całkowicie pominałem — na razie — problem obyczajowy. Zatrzymałem się jedynie przy sprawach bytowych, jako że... byt określa świadomość. Jestem przekonany, że w tej mierze łatwo możemy studentom pomóc. Za parę dni rozpoczynają nowy rok studiów w warunkach, jakie stworzy im łódzkie społeczeństwo.

ANDRZEJ DOŁĘGOWSKI

FOTO: PAWEŁ NOWAKOWSKI

odgłosy str. 5





Dom Konopnickich w Bronowicach

(Fot. Skony)

HENRYK PAWLAK

*Kochasz ty dom, ten stary dach
Co prawdy baśń o dawnych dniach,
Omszałych wrót rodzinny próg,
Co wita cię z cierniowych dróg?*

I

Pod starym dachem były książki, zapomniane w kurzu i pajęczynie. Cierniowe drogi nie były pustą metaforą. Dziś po kilku dziesiątkach lat do tego miejsca wiedzie niebieski szlak turystyczny. Białe prostokąty „ymalowane na korze starych drzew prowadzą nieomylnie.

Najpierw jest długa aleja topolowa, potem otwiera się nagle przestrzeń ograniczona ze wszystkich stron drzewami. W środku niewielki dom. Cały jest białutki, tylko czerwona tabliczka nad gankiem świeci jak latarnia. Chcemy wejść do środka lecz drzwi zamknięte. Obchodzimy dom ze wszystkich stron. Wychodzi nam na przeciwko stado gęsi, przybiegają konie, tupie śmieśnie mały zrebak, turlają się w trawie dwa okrągłe prosiaki. Po drugiej stronie domu taras. Nad nim ogromny parasol rozłożonego drzewa. W środku domu, żywego ducha. W pokojach poprzewracane lawki szkolne, na stolach sterty książek. Po pewnym czasie słychać gdzieś skrzypienie schodów. Pojawia się kobieta i nie pytając nawet podaje nam klucze. Wracamy na front domu.

Słońce prześwietla na wyłot wnętrza ganku. Na podłodze dywan, na ścianach między oknami gabloty, kilimek ludowy, portret pewnej pani, która blisko sto lat temu tu mieszkała. Stolik, dwa taborety, ot i całe muzeum. Najmniejsze muzeum świata, i chyba najbardziej intymne. Ma się wrażenie, że to wszystko działo się wczoraj. Ze wczoraj pani tego domu wróciła od wód ze Szczawnicy, że w zeszłym tygodniu napisała ten list. Może za chwilę wejdziesz i powie nam dzień do bry?

II

Wtedy, w 1862 roku, gdy po raz pierwszy przestąpiła próg tego domu była nikomu nieznana młodzianką żoną pana Jarosława. Ona miała lat dwadzieścia, on trzydzieści dwa. Dostępnym ziemianstwu małżeństwo. Co rok przychodziły na świat dzieci, co rok spisywano akt taki, jak ten który można przepisać z księ-

gi znajdującej się w pobliskim Uniejowie:

„Działo się w mieście Uniejowie dnia 31 lipca 1863 r. O godzinie 6-tej po południu stawil się Jarosław Konopnicki, dziedzic z Bronowic, tamże zamieszkały lat 33 mający, w obecności Leonarda Fałęckiego dzierżawcy z Wielkopola lat 40, i Henryka Fałęckiego spółdzielca wsi Nera tamże zamieszkałego, lat 38 mającego i okazał nam dziecie płci męskiej urodzone dnia 1 czerwca roku bieżącego o godzinie ósmej wieczorem z

Nie wiem czy strych wyglądał tak jak wtedy gdy Maria Konopnicka znalazła księgozbiór po krewnym swego męża. Te książki odegrały w jej życiu bardzo ważną rolę. Kto wie czy to nie one obudziły jej pisarskie powołanie? W każdym razie studiowała je z zapałem i pracowicie. Później zaczęła sprowadzać z Warszawy nowe książki i czasopiśma.

O bronowskim okresie jej życia wiemy to i owo, ale chciałoby się znać wszystkie szczegóły. Jak to właściwie było z udziałem Jarosława w powstaniu styczniowym? Czy był rzeczywiście osadzony w łęczyckim więzieniu czy rzeczywiście Henryka Pustowójtówna zorganizowała ucieczkę? Czy w tym jej postępku krył się tylko pa-

im różne rzeczy opowiadała, a one słuchały.

Zbieraliśmy nieraz dla nich trufle, dziadek to smażył i im bardzo smakowało. Zabiki takie malutkie, zielonutkie też zbieraliśmy. Raz to nawet nam dziadek zrobił, jakże dobrze! Konie stale przyjeżdżały i on musiał do dworu jeździć gotować. Miał taką grubą księgę, z niej gotował. On wszystko umiał. Zwierzęta też leczył.

A pani Konopnicka lubiła z każdym porozmawiać, i z biednym i z bogatym. Była ze szkołą i wiedziała, że z każdym trzeba gadać.

Tam w Bronowie, przy stawie był kamień i tam ona lubiła słać. Pan Konopnicki lubił sobie wypić i był więcej za bogatymi. A potem ten Bronów sprzedali. Kupił Dzierżbicki Artur, Bogacz. Syn garnicza (w głosie dziadka Papierkowskiego zabrzmiał ton bezgranicznego zdziwienia). Konopnicy wyjechali później do Gusina. On cały majątek zmarnował. Rozgniewała się na niego i wyjechała.

IV

Pierwszy wiersz napisała, a ściślej — wydrukowała, mając 34 lata i sześcioro dzieci. Nie śmiała go pod pisać swoim nazwiskiem. Ukazał się w „Kaliszaninie” pod pseudonimem „Matko”. Nosił tytuł „Zimowy poranek”. W 1877 roku „Bluszczy” i „Tygodnik Ilustrowany” drukują następne utwory. Do Gusina ktoś przysłał egzemplarz „Gazety Polskiej” z entuzjastycznymi uwagami Sienkiewicza.

Czy dziadko Papierkowski nie przesadził z tym pisanie pod drzewami bronowskiego dworu? Wiersze zaczęły się ukazywać w kilka lat po opuszczeniu tego majątku. A może już wtedy zaczęła Konopnicka doskonalic swe pióro?

Jedno jest pewne, że w Bronowie poznawała życie. Tu kształtował się jej umysł, chłonał prawdę o wal i ludzie polskim, tu zrodziła się miłość do ziemi i natury.

I tutaj jeszcze dzisiaj mają panią z Bronowic w serdecznej pamięci, jeszcze dzisiaj mówią o niej jak o kimś kto był wczoraj. No i trochę fantazjują. Dziadko Papierkowski musiałby mieć dzisiaj ze sto lat żeby prawdziwa była scena opisana przez niego przed chwilą, scena pod topolą. Wspomnienia ojca przyjął za swoje. Tu czas płynnie wolno prawda obrasta w mech legendy i należy do wszystkich.

Nawet do tego, nigdy nie czesanego wiejskiego urwisia, który nie pytałaj wie w jakim celu podjeżdża samochód do zagrody Papierkowskich.

PANI w czarnej pelerynie

jego małżonki Marii z Wasilowskich lat 21 mającej. Dziecięciu temu na chrzcie świętym w dniu dzisiejszym odbył nadane zostało imię Tadeusz, a rodzicami jego chrzestnymi byli Henryk Fałęcki i Józefa Karwacka.

Potem były zapewne hućne przyjęcia jako że pan Jarosław lubił życie towarzyskie i w jego domu zawsze było pełno gości. Później, sławna już Maria Konopnicka napisze w liście wspominając czasy bronowskie, że „sfera życia była hućna, szlachetka w znaczeniu niedbania o jutro, a tłem życia były zjazdy, polowania, jarmarki”.

Dziś nie zajęczają już bryczki. Tylko kwiaty kwitną być może tak samo, wiatr szumi w drzewach podobnie i rosy na polach kładą się jak w owe czasy. Może wszystko jest tak samo jak wtedy, gdy młoda żona p. Jarosława Konopnickiego wymykała się z gwarne-go domu by nieco po kobiecu wrzucić się urokami tej ziemi. Tu gdzieś pod drzewem stał stolik, tu gdzieś — jak twierdzi dziadko Papierkowski — pisała.

Dziś w dawnym dworku mieści się szkoła. Na górze mieszkać ludzie z nią związani. Na górnym tarasie od strony głównego wejścia bawi się umorusany berbec.

triotyzm i współczucie dla uwięzionego? Faktem jest, że Konopnicy na blisko dwa lata wyjechali do Niemiec i dopiero po upadku powstania gdy się wszyscy ucieszyło, wrócili do Bronowa.

III

Monolog Władysława Papierkowskiego ze wsi Konopnica.

„Panietam, siedziała pod białakiem (to znaczy białą topolą). Była ławeczka i stolik. Coś pisała. Szliśmy z dziadkiem. Niech Papierowski idzie do mnie — odezwała się Ja miałem wtedy 10 lat. Niech Papierkowski usiądzie. Pyta się: kto to? i pokazuje na mnie. Wnuczek — odpowiada dziadek. Usmiechnęła się i powiedziała — ładny. Dała mi cukierka, pocałowała w głowę.

Wszyscy wtedy wiedzieli że pisze. Szlachetna była, kobiety pouczała jak mają się gospodarzyć. Mój dziadek to u tych Konopnickich przez dwadzieścia lat robił, znaczy się gotował. Jak raz zachorował to przyjechała na wieś do niego z Konopnickim. Suknię z czarną pelerynką miała. Co wam? — pytała. Należy się tej pani pomnik w Bronowie.

Ona jak przysłała na wieś to kobiety się schodziły i

MARIAN
PIECHAL

SEDNO
RZECZY

Antyhamlet

Piękne przedstawienie „Obro ny Sokratesa” Platona w Małej Sali Teatru Nowego pobudza do refleksji nad wiecznym aktualnym problemem antyhamletyzmu. Kiedy, w jakich okolicznościach i u jakich typów ludzi on występuje? To pytanie zrodziło się we mnie, gdy po raz pierwszy usłyszałem „Obroń Sokratesa” tuż przed wojną w znakomitej radiowej interpretacji Stefana Jaracza. Obecnie po raz pierwszy ujrzała w scenicznym przedstawieniu Seweryna Butryma sprawa równie głębokie wrażenie i pod względem przeżycia na nowo staro-go problemu nie ustępuje w niczym tamtej radiowej.

Co oznacza hamletyzm? W potocznym rozumieniu oznacza wahanie i brak zdecydowania w wyborze sposobu postępowania, wiodącego do tej prawdy. Stąd — logicznie — antyhamletyzm oznaczałby coś wręcz przeciwnego: pewność i zdecydowanie. Takim właśnie pewnym i zdecydowanym jest platoński Sokrates w przeciwieństwie do szekspirowskiego Hamleta. Mój niezujący już profesor uniwersytecki Władysław Witwicki, tłumacz owej „Obroń Sokratesa” i w ogóle całego prawa Platona na polski, wydanego po wojnie (wyszło dotychczas 17 tomów) przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe, doskonale poza tym jego komentarz, porównuje platońskiego Sokratesa do ewangelicznego Chrystusa. Podobnie czyni T. Deman w obszernym dziele wydanym po polsku przed rokiem p. t. „Chrystus Pan i Sokrates”. Sądzę, że obaj nie mają racji. Poza podobieństwem zewnętrznym akcesoriów i gestów, jak niespieszanie swoich nauk, lecz wygłaszanie, dobrowolne ubóstwo, bezinteresowna służba dobru, gotowość do ofiary za własne przekonania — wszystko inne różni Sokratesa od Chrystusa, którego ustawicznie wahanie i ciągłe odwoływanie się do interwencji i ostatecznej decyzji Ojca zbliża go raczej do Hamleta, pomijając oczywiście wymiar moralny i charakter dziejowy, jakie dzieła obte te postaci. Wprawdzie Sokrates miał swego „dajmoniona”, ale tylko jako doradcę, a nie rozstrzygającego arbitra — to raczej głos sumienia a nie decydującego nieodwołalnego demiurga. Dajmonion Sokratesa doradzał mu jedynie, czego ma nie robić, nigdy zaś nie występował w roli dopingującego inspiratora.

Zresztą nie trzeba zapominać, że poza platońskim Sokratesem jest jeszcze również wiarogodny Sokrates Ksenofonta i Sokrates Arystofanesa, pozbawiony zgola owego niezbyt natrętnego w gruncie rzeczy dajmoniona, a dopiero trzy te przekazy literackie razem, znosząc się w różniach, a pokrywając i potwierdzając w podobieństwach, rysują możliwość prawdziwą i rzeczywistą postać Sokratesa. Talciego właśnie wypadkowego mędrca przedstawia w swym dziele p. t. „Sokrates” mój drugi profesor uniwersytecki, Adam Krokiewicz. Jest to, jak dotychczas najgruntowniejsze i jedyne dzieło w Polsce o Sokratesie, które wyszło ostatnio.

I Platon i Ksenofont, i Arystofanes znali osobie Sokratesa. Ale opinie ich, prócz wielu zbieżności, w ostatecznym charakterystyce się nie pokrywają. Żeby się posłużyć słowami prof. Tadeusza Sinki: „mędrzec Platona jest jaśniejszym posagiem boga w futeralesatyrze, mędrzec Ksenofonta pobożnym pocziwem z dużą dozą zdrowego rozsądku i praktyczności”, zaś według Arystofanesa Sokrates to eofilistyczny krętać, cyniczny bluźnierca i demoralizator młodzieży. Są jeszcze inne opinie o Sokratesie, jak w pamflocie Polikratesa lub apologii Iazjasza — ale wszystkie mniej więcej obracają się w kręgu zakreślonym przez pisma trzech pierwszych pisarzy.

Która z tych opinii jest najbardziej zbliżona do prawdy? Za każdą przemawiają równie mocne racje jak i wątpli-

wości. Platon i Ksenofont byli uczniami Sokratesa, pierwszy o 42, a drugi o 39 lat młodszy od niego. Swoje apologie mistrza pisali dopiero wiele lat po jego śmierci. Były to więc pocinalne hołdy złożone zmarłemu, a wiadomo, że de mortui nil nisi bene. Zaś Arystofanes był prawie rówieśnikiem Sokratesa, dyskutował z nim publicznie, zasiadał z nim na uczciach, co poświadcza w swej „Uczcie” sam Platon, a paszkwił na Sokratesa, komedie „Chmury”, napisał za jego życia na 24 lata przed słynnym procesem, kiedy Sokrates mógł się jeszcze bronić — bądź osobieście, bądź sądownie — przed zarzutami o bezbożność i gorszytelstwo. Tak więc z dwóch rzeczonych tu apologii i jednej złośliwej karykatury Sokratesa równie trudno dociec prawdy, co z domysłów i fantazji późniejszych sokratyków. Jak naprawdę wyglądał i co ostatecznie głosił Sokrates — nie wiemy. Znamy go tylko z legendy literackiej podobnie jak z legendy literackiej jedynie znany Chrystus i Hamleta.

Do tradycji przeszedł Sokrates platoński, wyidealizowana postać literacka, męczennik za prawdę, bohater. Platon, zanim zaczął pisać dialogi filozoficzne, pisał przez lat kilkanaście dytambuły i komedie, rywalizując z Arystofanem i pod jego wpływem. Dopiero po śmierci Sokratesa przejął jego dziedzictwo i z dramaturgią przestąpił się w filozofa. Przeciwwstawiając się Arystofanesowi, zaczął pisać tragedie. Bo ostatecznie unowocześnioną tragedią, oczyszczoną z wszelkich obowiązujących wtedy konwencji — białą w stylu niemieckiego Norwida, bo bez krwi rozlew — jest przecież każdy utwór Platona. Platon uczynił w nich z Sokratesa swoje filozoficzne medium, przydając mu swym wypowiedziom autorytet mistrza. Można też odwrócić to zdanie i powiedzieć, że Platon przyjął na siebie rolę medium pośmiertnego Sokratesa. W każdym razie trudno odróżnić, gdzie mówi Sokrates, a gdzie Platon, który nigdy mu nie oponuje i zawsze się z nim zgadza.

Wbrew temu, co powiedział na procesie Sokrates że gdyby zajmował się polityką, to nie dożyłby tak sędziwego wieku, Platon całe życie zajmował się polityką, siedział nawet za nią w więzieniu, i dożył sędziwego wieku lat 80 czyli o lat 10 dłuższego niż Sokrates. Jasne, że to powiedzenie Sokratesa jest kpina, jak wszystko, o czym mówi, niby na serio w swym ostatecznej przedśmiertnej mowie. Jedynie słowa serio, to ja wspaniała mowa o sobie jako o złośliwym baku na karku skłonnego do ospalności konia ateńskiego. Czym wyluln Sokrates, że etyczna nauka Sokratesa, który się tak stanowczo odzygnął od wszelkiej polityki, popadała właśnie w tragiczny konflikt z aktualną polityką? Sokrates swą racjonalistyczną moralistyką podważał te dogmaty i rozbił, chcąc nie chcąc, te instytucje, które były głównymi ostojami ówczesnego ustroju, — stąd jego konflikt z aktualną racją stanu. Jego moralistyczna dyalektyka stała się niebezpieczną politycznie. Podważała ustrój.

Alle ponieważ wiedział, że prawda jego jest bezwzględna przeto umierał bez wahania zdecydowany rezygnacją z życia poświęcić jej wiarygodność. Nie potrzebował dla swej decyzji aprobaty żadnego dajmoniona, który wtedy właśnie, w ostatecznej rozstrzygających chwilach jego życia — jak sam zaznaczył — nie potrzebował podiechy żadnego bóstwa, prócz prawdy, która oto wielona w jego tragizacji postać sama przemieniała się w bógwo.

SEZON TEATRALNY 1960/61

NA SCENACH ŁÓDZKICH

Bieżący sezon teatralny zapowiada się bardzo bogato i będzie obfitował w interesujące premiery. Wybraliśmy z nich dużą część, aby zasygnalizować Czytelnikom — teatromanom, co i kiedy w tym roku warto będzie zobaczyć

ZESTAWIŁ MAREK WAWRZKIEWICZ



Teatr Nowy

Dyrektor i Kierownik Artystyczny: **KAZIMIERZ DEJMEK**. Kierownik literacki: **JAN KOPROWSKI**.

PAŃSTWOWY TEATR NOWY W BIEŻĄCYM SEZONIE TEATRALNYM PRACUJE NA DWÓCH SCENACH — MAŁEJ I DUŻEJ. A OTO POZYCJE REPERTUAROWE TEGO TEATRU:

Scena Duża

1. W. Szekspir „Juliusz Cezar” — premiera w październiku, reżyseria: Kazimierz Dejmek. Wystąpią m. in. S. Butrym T. Minc, M. Voit.

„Juliusz Cezar” należy do najrzadziej wystawianych dramatów Szekspira. W Polsce nie był wystawiany od warszawskiej inscenizacji Leona Schillera w latach trzydziestych. Z tym większym zainteresowaniem należy oczekiwać „Juliusza Cezara” w reżyserii K. Dejmeke.

2. B. Brecht „Opera za trzy grosze”. Premiera w grudniu. Reżyseria J. Rotbaum, scenografia Stopka.

„Opera za trzy grosze”, najbardziej bodaj znana ze sztuk Brechta, oparta na motywach średniowiecznej „Opery żebraczej” Gay’a, jest sztuką dość często wystawianą w polskich teatrach. Reżyseruje ją gościnnie Jakub Rotbaum, reżyser teatrów wrocławskich, twórca wielu interesujących spektakli, m. in. bardzo wysoko ocenionego przez krytykę „Biegu do Fragala”.

3. A. Suchow-Kobylin — „Sprawa”. Premiera prawdopodobnie w lutym 61 roku.

Sztuka Kobylina jest mniej znaną częścią trylogii do której należą „Śmierć Tariatkina” i „Małżeństwo Kreczyńskiego”.

4. Stefan Zeromski — „Sułkowski”. Premiera prawdopodobnie w marcu 61 roku.

5. Duża Scena zapowiada poza tym dwie premiery a wśród nich „Achilleis” Wyspiańskiego lub „Dziady” Mickiewicza.

Mała Scena

6. „Album jednoaktówek”. Premiera w październiku.

Stanisław Mackiewicz „Siżyś”, „Kamil Arago” i J. M. Rymkiewicz „Król w szafie”.

W tej ostatniej sztuce, publikowanej w „Dialogu”, wystąpią m. in. Wichura, Łaszewski, Piłarski, Jakubińska, Skolimowski. Reżyseruje Dejmek i Antczak.

7. Maria Czernerle „Tomasz”. Premiera w listopadzie. Reżyseria Krystyna Feldman i Kazimierz Dejmek.

Sztuka współczesnej polskiej pisarki znanej publiczności przede wszystkim z recenzji teatralnych zamieszczanych w „Teatrze”.

9. Antoni Czechow „Trzy siostry”. Premiera w grudniu, reżyseria K. Dejmek i J. Rachwałski.

9. Ryszard Marek „Szopka polityczno literacka”. Premiera w grudniu. To już druga szopka pary młodych łódzkich satyryków.

10. Bliźniński „Pan Damazy”. Premiera w lutym 61 roku. W roli tytułowej Stanisław Łapiński.

Stanisław Łapiński, znakomity aktor, ulubieniec łódzkiej i nie tylko łódzkiej publiczności, obchodzić będzie w tym przedstawieniu jubileusz pięćdziesięciolecia pracy scenicznej. Nie sposób tu przypomnieć choćby niewielkiej części jego ról — wszystkich autentycznie prawdziwych, jedynych — kreacji w pełni tego słowa wielkich. Niżej podpisany miał ogromną przyjemność oglądania Stanisława Łapińskiego w roli Falstaffa w „Henryku IV” Szekspira przed kilkoma laty — a mimo to potrafiłby dość szczegółowo opowiedzieć dziś o wszystkich odcieniach głosu i gestu. To jest tylko jedna z wielu ról Łapińskiego — tych, których się nie zapomina.



Teatr Powszechny

Dyrektor: **STANISŁAW PIOTROWSKI**. Kierownik artystyczny: **ROMAN SYKALA**. Kierownik literacki: **IRENA BOLTUĆ-STASZEWSKA**.

TEATR OTWIERA SEZON „FANTAZYM” SŁOWACKIEGO. KOLEJNOŚĆ DALSZYCH PREMIER MOŻE ULEC ZMIANIE I JEST UZALEŻNIONA OD SFINALIZOWANIA ROZMÓW Z MARIĄ MALICKĄ O JEJ PRZYJAZD I GRĘ W DWÓCH SZTUKACH. A OTO PREMIERY P. T. P.:

(XI) 1. Juliusz Słowacki „Fantazy”. Premiera w październiku. Reżyseria Tadeusz Byrski, scenografia Tośta i Jankowska. Wystąpią m. in. Niewczas, Jabłonowska, Rudnicka, Koczanowicz, Zukowski, Sobiesiak.

Tadeusz Byrski reżyserujący gościnnie w P. T. P. „Fantazego” jest jedną z najbardziej interesujących postaci naszego świata teatralnego. Sprawując wraz z żoną dyrekturę teatru w Kielcach, uczynił go jednym z najciekawszych, najsmielszych i najnowocześniejszych teatrów w Polsce. Nazwisko — Byrscy — wymieniano w latach 56—59 w jednym szeregu z nazwiskami Dejmeke czy Skuszanek. W sezonie teatralnym 58—59 sprawował dyrekturę teatrów w Poznaniu.

(XII) 2. Darowski, adaptacja scen. A. Marianowicz i J. Minkiewicz, „Stare Miasto”, lub Krumińskiego: „Krowoderskie Zuchy”.

(XIII) 3. Jerzy Lutowski „Tarabumba” (łącznie z „Falą”). Autor „Sprawy rodzinnej” i „Ostrego dyżuru”, polemizuje z Beckettem i Ionesco.

(XIV) 4. Sydney Howard „Złoty sznur”. Premiera w styczniu. Reżyseria: Zbigniew Korpalko, radiowiec.

(XV) 5. R. Sherwood „Droga do Rzymu”. Reżyseria: Roman Sykala.

Sztuka Sherwooda jest chyba najbardziej interesującą pozycją repertuarową Teatru Powszechnego.

(XVI) 6. Gyrfas „Nawrócony diabeł”. Premiera w końcu sezonu.

P. T. P. pertraktuje również o prawo wystawienia znakomitej sztuki amerykańskiego pisarza O'Neill'a „Widma” („Mourning Became Elektra”), która jest transpozycją mitu Elektry.

W wypadku pomyslnego sfinalizowania pertraktacji z macierzystym teatrem Marii Malickiej — Teatrem im. Słowackiego z Krakowa — Teatr Powszechny wystawi w listopadzie.

(XVII) 7. Aleksandra Fredry „Mąż i żona”.

Opera

Dyrektor: **SABINA NOWICKA**. Kierownik Artystyczny: **ANTONI MAJAK**. Kierownik Muzyczny: **WŁODZIMIERZ ORLIKI**.

KIEROWNICTWO ARTYSTYCZNE CIĄGLE JESZCZE NIE UPANSTWOWIONEJ OPERY ŁÓDZKIEJ OBJAŁ W BIEŻĄCYM SEZONIE ZNANY ŚPIEWAK I WYTRAWNY REŻYSER ANTONI MAJAK. PRZYPUSZCZAC NALEŻY, ŻE MŁODY AMBITNY ZESPÓŁ OPERY KIEROWANEJ PRZEZ TEGO ARTYSTĘ BĘDZIE SIĘ W DALSZYM CIĄGU HARMONIJNIE ROZWIJAŁ. ZESTAW POZYCJI REPERTUAROWYCI OPERY ŁÓDZKIEJ JEST INTERESUJĄCY, CHOĆ MOŻE NIEKIEDY BUDZI NIEJAKIE ZDZIWIENIE.

(XVIII) 1. Gounod „Faust”. Premiera w połowie listopada. Reżyseria A. Majak, kier. muz. W. Orlicki, scenografia E. Soboltowa, choreografia F. Parnell.

Niezwykle starannie przygotowywany „Faust” będzie miał potrójną, a nawet poczwórną nie raz obsadę. M. in. śpiewać będą Dejmeke, Antoni Majak i Michał Marchut, Fausta Starogo: nowopozyskany Paulos Raptis, Fausta Młodego: P. Szychalski i T. Kopacki, Walentego: Artysz i Heimberger, Malgorzata: W. Kuźmińska i Z. Rudnicka, Martę: M. Narkiewicz.

(XIX) 2. J. Strauss „Baron Cygański”. Premiera prawdopodobnie w kwietniu 61 roku. Reżyseria A. Majak.

Powyzsza pozycja repertuarowa może budzić pewne wątpliwości — wątpliwości wydające mi się słusznymi. Nie bardzo uzasadnione jest dublowanie Operetki. Nieprzekonywający jest chyba argument, że nawet Opera Wiedeńska wystawiła tę klasyczną operetkę. Pozycja ta jest tym dziwniejsza, że Opera Łódzka jest jedynym chyba teatrem w Łodzi, który nie musi się szczególnie ubiegać o względy publiczności — prawie wszystkie jej spektakle odbywają się przy 100-procentowej frekwencji.

Opera Łódzka zapowiada poza tym następujące premiery, nieokreślone jeszcze bliżej w czasie.

(XX) 3. „Fontanna Bachczyseraju” w choreografii Feliksa Parnella.

(XXI) 4. J. Straussa „Zemsta Nietoperza” (i znów operetka) a w następnym sezonie Bizeta „Carmen”.

Teatr im. Jaracza

Dyrektor i Kierownik artystyczny: **FELIKS ZUKOWSKI**. Kierownik literacki: **STANISŁAW BRUŻ**.

TEATR JARACZA OBCHODZI W TYM ROKU JUBILEUSZ PIĘCDZIESIECIOLECIA ISTNIENIA SCENY. SEZON BIEŻĄCY W TEATRZE JARACZA BĘDZIE PIERWSZYM SEZONEM PONOWNEJ DYREKTURY ZNANEGO AKTORA I REŻYSERA FELIKSA ZUKOWSKIEGO, KTÓRY OBJAŁ TO STANOWISKO PO ZASŁUŻONYM DLA POLSKIEGO TEATRU KAROLU BOROWSKIM.

(XXII) 1. Lew Tołstoj „Żywy trup”. Premiera w listopadzie. Reżyseria Maria Wiercińska, scenografia Władysław Daszewski.

(XXIII) 2. Wojciech Bogusławski „Krakowiacy i Górale”. Inscenizacja Schillerowska. Premiera w grudniu.

Premiera realizowana wspólnie z Operą Łódzką na uroczystość pięćdziesięciolecia teatru.

(XXIV) 3. W. Szekspir „Opowieść zimowa”.

(XXV) 4. B. Brecht „Strach i nędza III Rzeszy”.

(XXVI) 5. Sean O'Casey „Kukuryku”.

(XXVII) 6. K. Perez „Ballada o Piaście”.

(XXVIII) 7. Pogodin „Trzecia patetyczna”. Premiera 1 Maja. Sztukę reżyserował będzie gościnnie jeden z czołowych reżyserów radzieckich.

Oprócz dwóch nieokreślonych jeszcze bliżej premier Teatr Jaracza wystawi w końcu października bajkę.

(XXIX) 8. M. Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. Reżyseria: J. Mazanek.

Teatr 7.15

Dyrektor i Kierownik Artystyczny: **JANUSZ KŁOSIŃSKI**. Kierownik literacki: **MARIAN PIECHAŁ**.

PO ODEJŚCIU MICHAŁA ORLICZA DYREKTURĘ TEATRU 7.15 OBJAŁ ZNANY ŁÓDZKI AKTOR, JANUSZ KŁOSIŃSKI. TEATR ROZPOCZYNA SEZON:

(XXX) 1. H. Sienkiewicz „Zagłoba swatem”. Premiera w październiku. Reżyseria: J. Kłosiński.

(XXXI) 2. Program składany — „Łódzki dzień”.

(XXXII) 3. L. H. Morstin — „Obrona Ksantypy”, reżyseria Antczaka. Morstin polemizujący z Platonem. Antczak — z Dejmeke. Czekamy na wyniki.

(XXXIII) 4. A. Suchow Kobylin — „Małżeństwo Kreczyńskiego” lub „Śmierć Tariatkina”.

(XXXIV) 5. Wołodin — „Pięć wieczorów”. Premiera w marcu.

(XXXV) 6. Plaut — „Kupiec”.

(XXXVI) 7. Program składany — „Bale, bale, bale”.

Repertuar powyższy wymaga niewielkiego komentarza, jest bowiem w najwyższym stopniu niejednorodny. Odnosi się wrażenie, że dyrektor Kłosiński lawirował między tym, co chciałby wystawić („Obrona Ksantypy” czy „Kupiec”) a tym, na co chce przychodzącej określonej i stała publiczność Teatru 7.15 (składanki „Zagłoba swatem”). Nic więc dziwnego, że zestawienia są nieraz szokujące. Wydaje mi się, że powyższe pomieszczenie sztuk różnego rodzaju i o różnym poziomie nie jest wyjściem szczęśliwym z dotychczasowego balaganu.

Operetka

Dyrektor: **ANTONI BACHLIŃSKI**. Kierownik artystyczny: **JADWIGA KENDA**.

W SEZONIE BIEŻĄCYM WYSTAWI CAŁY SZEREG POZYCJI INTERESUJĄCYCH MIŁOSNIKÓW OPERETKI. MIĘDZY INNYMI:

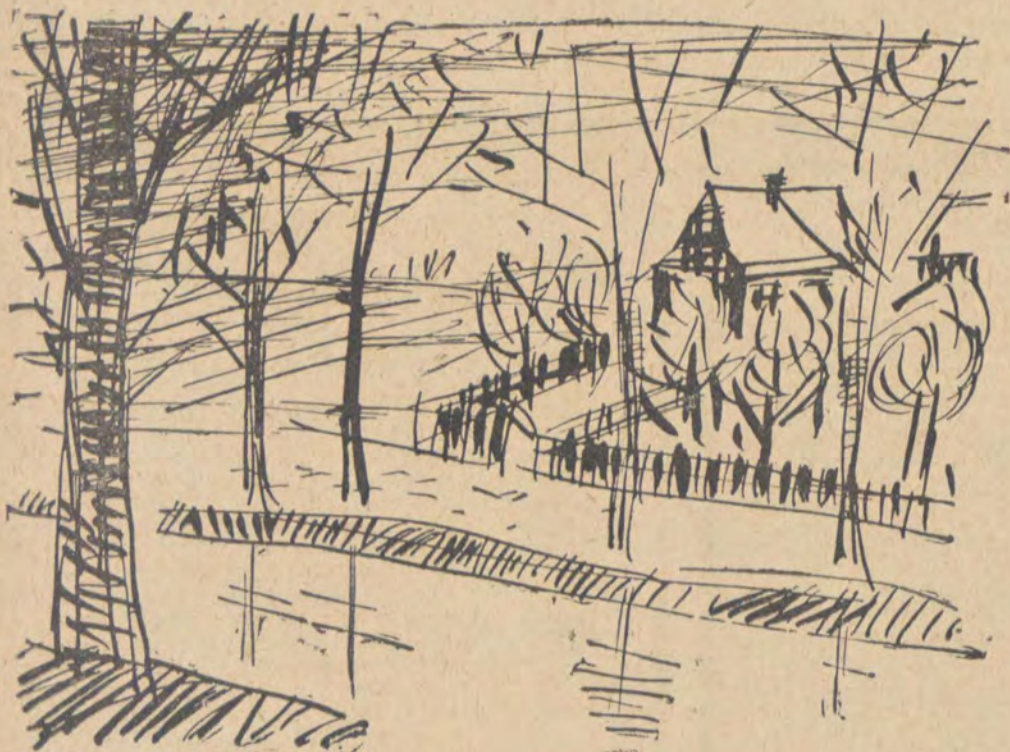
(XXXVII) 1. P. Abraham — „Kwiat Hawai” — premiera w styczniu.

(XXXVIII) 2. Friml — „Król włóczęgów” — premiera połączona z uroczystością 15-lecia Operetki Łódzkiej.

Za ewentualne zmiany repertuarowe odpowiada nie redakcja, lecz dyrektorzy

NOWA MIŁOŚĆ

Rodzinie Bryków ze Stegienki



Mam młodą żonę, mam trzech synów, najstarszy chodzi do siódmej, drugi z kolei do piątej, trzeci najmłodszy pęta się po domu, mieszkam w chałupie po robotniku Niemcu, który pracował u „bauera”, niebiedny musiał być ten „bauer”, skoro robotnikom wystawiał osobne domy, dawał działki, u nas takiego nazywali dziedzicem, a tu zwyczajnie „bauer”. Dom jest nieduży, ma trzy ciasne pokójki i jeszcze mniejszą kuchnię, wstawisz łóżko, stół i nie ma gdzie się wykręcić, ale podobają mi się, zewnątrz wygląda bardzo ładnie, jest zgrabny, ma wysoki, spadzisty dach, pokryty czerwonym dachówką, obok rosną drzewa, przeważnie czereśnie i wiśnie, parę śliw także. Wewnątrz zaś, w domu choć ciasno, ale bardzo „przemysłowe”, z głową musiał być ten majster który budował, to jest coś uderzającego, jak tu wykorzystany jest każdy centymetr kwadratowy powierzchni, jak są urządzone schody które prowadzą na górę i do piwnicy, warto by te domy skopiować i takie stawiać, tylko nieco większe, w naszych rodzinnych stronach, w Kieleckiem lub Łódzkiem.

W rodzinnych stronach piasek, tych stron nie mogę uważać za rodzinne, tu, na Warmię przyjechałem w czterdziestym ósmym, wychowałem się w Kieleckiem pracowałem też jakiś czas w Łodzi ale moi synowie urodzili się w Stegience, przywykli do tego powietrza, do tego krajobrazu, nie znają innego, tu jest ojcowizna moich synów, ziemia czarna, urodzajna, w czasie deszczu niemożliwa do przebycia, w czasie suszy popekana, trzeba ją znać, umieć się z nią obchodzić, jak zresztą z każdą ziemią. Morze jest od nas oddalone o cztery kilometry, wieczorami i nocami słychać jak huczy, bulgocze, zwłaszcza kiedy jest wzburzone, a to trafia się najczęściej pod jesień, początkowo nie mogłem się przyzwyczaić do tego nieustającego gotowania, bałem się nawet, niedobre były te ryki, żalowałem, że tu przyjechałem, śniły mi się po nocach lasy, których tu brak, jedyny las w tej okolicy to wzdłuż brzegu morza, na nizinie zaś gdzie mieszkamy lasów nie ujrzyysz, tylko wierzy przy drodze i nad kanałami. Dla

mnie i dla żony był to duży brak, wychowani jesteśmy wśród lasów, przywykli do ich szumu do ich mowy, dzieci lasu nie oglądały do piątego roku życia, mieszkaliśmy przy morzu, a nie mieliśmy czasu pójść tam, zobaczyć, przecież to niedaleko, do Jantaru trzy kilometry, a za Jantarciem ciągnie się wysoki wał, rosną sosny, a za tymi sosnami morze. Na dzieciach te odgłosy nie czynią takiego wrażenia jak na nas, chłopcy lubią przed spaniem posłuchać morza, wychodzą na podwórko, słuchają, stoją w milczeniu, przykładają szklanki do uszu, powiadają, łowimy morze, chwytaliśmy do szklanki morze, poznają po tych głosach, czy fale są duże czy małe, czy na plaży wywieszona jest czarna chorągiewka. Naprzeciw naszego domu płynie kanał, raczej stoi, woda w nim leniwa, brudna używa się jej do mycia statków, poi bydło, kanałów tu dużo, nie przejdiesz tak jak u nas łąkami na przelaj, trzeba znać drogę, niewidoczne ścieżki, synowie znają każdą ścieżkę, potrafią lepiej przeprowadzić niż ja, brodzą po kanałach jak bociany i pływają jak żaby.

Kanałów tu jest bardzo dużo, krajobraz niepodobny do żadnego ze znanych, u nas, w Kieleckiem spotyka się wzgórze i lasy, a tu na każdym kroku kanały, woda za wodą. Przyjechali do nas zeszłego roku kuzyni, powiadali, żeby to tak u nas, żeby te kanały można przemieścić. Kupiłem mapę, lubię patrzeć na nią wieczorami, żona i chłopcy też lubią to zajęcie, czasami cały wieczór spędzimy nad mapą, wędrujemy po całym Zawisłulu, wodzimy ołówkiem po czarnych nitkach. Kanałów tyle, co żyłek w mózgu, taki tu kraj unerwiony, chyba w całej Polsce nie ma tyle wody co tutaj. Naszej Stegienki na mapie nie zaznaczono, Jantaru również, są tylko większe miejscowości jak Stegna, Sztutowo, niedaleko za Sztutowem zaczyna się już Mierzeja Wiślana. Ale za to poznaliśmy kanał, który przepływa przez naszą wieś, narysowali go.

Za Stegienką droga wykręca na północ, idzie między wierzbami, dalej rysuje jakby kolano, w tym miejscu nie ma ani jednego drzewka, po prostu lysiina, nie wiem dlaczego, ale nie lubię tego miejsca, nie chciałbym się, na przykład, znaleźć tutaj w czasie burzy. Mam wspomnienie niedobre, wiążące się z tym zakretem. W tym miejscu napadł na mnie zły człowiek, kiedy przyjechałem do

Stegienki po raz pierwszy. Nie był to miejscowy, miejscowego bym poznał, z tujejszymi żyjemy w wielkiej zgodzie, oni bardzo lubią ludzi z środkowej Polski. Był to jakiś osiedleńca, za takiego się podawał, który najpierw mnie straszyl wojną, potem podpalaniem i bandytami, napady istotnie się zdarzały, mówił, przyjechał tu, ale zwija manatki, nie może wytrzymać. Nie wiem jaki miał w tym interes, może i miał, bo dlaczego by się tak trudził, był czas, że różni ludzie się kręcili. Kiedy wiozłem rzeczy z Jantaru, przysiadł się do mnie na wóz, i tu gdzie droga skręca, zerwał się do bicia, w rowie czekał już drugi. Z innymi mogliby co wskórać, ze mną się przeliczyli, szadzi, że dadzą radę, chudość ich zmamiła, jestem wysoki, ale z pozoru nie wyglądam na silnego. Skreśliłem mu tak ręce, że wyl, biczysko na nim polamałem, uciekli obydwaj. Takie strachy na Lachy częściej się tu odgrywały, baloniki od Adenauera puszczali, grozili, początkowo byłem niespokojny, żona się przestraszyła, chciała wracać, choć jej się podobał ten domek i gospodarstwo, można było ziemi tyle zgarnąć, ile ochoty do pracy, jeszcze wtedy nie stała stodoła, nie mieliśmy stajni, czekało nas morze pracy. Żona wzdychała, zarobimy się na śmierć, pocoismy tu przyjechali. Żal mi jej było, bardzo młodą mam żonę, wyglądała jak dziecko. Dwa razy przyjeżdżałem do Stegienki i dwa razy uciekałem. W końcu zostałem. Wychowałem sobie psa, wilka, złego jak szatan, ale po roku musiałem go zabić, był niebezpieczny, zagryzł mi krowę. Poznałem sąsiadów, zaczęliśmy sobie pomagać, zachodzić do siebie, po dwóch latach nie potrzeba było trzymać wilka na obronie.

Żona prędzej się przyzwyczaiła do tych stron niż ja, pobudowali stodołę, u nas, w starej wsi nikt podobnej nie ma, przynajmniej za mojej bytności nikt takiej nie miał, stodoła wielka, obszerna, z Jantaru ją widać, potrzebna mi taka, bo zboża mam dużo, siano dobre. Powtarzam, żona czuje się coraz lepiej, w tym roku pojechała w odwiedzinach do ojców w Kieleckie i zaraz wróciła, powiada, przykryło jej się, taka jakas głusza w starej wsi, w Stegience jest świat weselszy. Tyłem się narobił przez te lata, a nie się nie postarzała. Słucha razem z chłopcami wieczorami morza, lubi przesiadywać na podwórzu, siedzi nieruchomo, patrzy do góry, na roziskrzony niebo pełne odgło-

sów morza, te same gwiazdy nad nią, ten sam pył, co nad naszą starą wsią. Nawet kiedy chmury zakryją niebo, a często się to zdarza, żona musi swoje odsiedzieć, wydaje mi się, że nie gwiazdy ją ciągną, a morze. To jest prawda, często mi powtarza, do żadnego kraju nie chciałaby wyjechać, nigdzie, ale po morzu pływałaby przez całe życie, nie sprzykrzyłoby się jej nigdy.

Słowem, urządziliśmy się w Stegience na dobre, nie ma siły, żeby pomyśleć o powrocie, zresztą, do czego, choćbym miał takie ukryte myśli, to nie potrafiłbym tego powiedzieć moim chłopcom ani żonie, oni mają związek z tą ziemią. Dużo jest tu ludzi z naszych starych stron, Do Nowej Cerkwi na przykład, poprzyjeżdżali całe rodziny, siostra pociągnęła siostrę, brat brata, poženili się z miejscowymi, jednemu się wiedzie dobrze, drugiemu gorzej, jak to zawsze i wszędzie bywa. Są i tacy, którzy nie potrafią się urządzić, chociaż bydła ma dużo, zboża pełne stogi, ryb w Wiśle, ile zechce, a wiatr po polu łapie, i w domu nieporządek. Ale wszędzie spotykam się z tym samym, mało komu się przykry, ludzie tu jakby od wieków mieszkali. Mój najstarszy planuje sobie już przyszłość, chce koniecznie chodzić do liceum w Gdańsku, marzy o tym. Trzeba się będzie rozejrzeć, za rok kończy szkołę podstawową. Mówię do niego, może by do rodziny, mam w Łodzi rodzinę, może by w Łodzi studiował, tak mu proponuję. Gdyby się zgodził, to bym go posłał do Łodzi, bo wolę, żeby był u swoich, ale on o niczym nie chce słuchać tylko o Gdańsku, Gdańsk codziennie na jego ustach i kiedy czasem idziemy nad morze, musi zawsze przystanąć na szynach w Jantarze, wtedy, powiada, jedzie się do Gdańska. Połączenie z Gdańskiem mamy kombinowane, można jechać Pekaesem, albo kolejką, bo przez Wisłę przeprawiamy się promem i swobodniej można oglądać krajobrazy.

Na ścianie w pokoju powiesiłem Krzyż Grunwaldzki, który otrzymałem za partyzantkę, nawet nie ja go powiesiłem, a żona. Żona wie, jakie to były czasy w latach wojny; powiada, dali ci krzyż, niech wiś. Byłem zaskoczony, jak to zostało przyjęte przez chłopców, synowie znają historię, zwłaszcza najstarszy, ma dziwną pamięć do tych spraw. Wyciąga książkę, powiada, byliśmy tu przed Krzyżakami, w trzynastym wieku polscy chłopcy osiedlają się w Postolinie, a nawet pod Braniewem, znane jest z tego czasu nazwisko polskiego sędzięgo Bratusza, ja nie znam tych rzeczy, mówi, że wielki mistrz krzyżacki przyjmował od ludności hołdy po polsku, ludzie nie umieli innego językiem mówić a po pokoju toruńskim całe wieś polskie z Mazur przesiedlają się do Prus, dopiero teraz wyrównaliśmy Grunwald; czasami radio puszcza na bońską falę, krew zalewa, co tamci wygadują, syn śmieje się z tego, że głupstwa.

Nie wiem, co drzewo czuje, co myśli, kiedy zapuszcza nowe korzenie w glebę, nie żyjemy tu, w Stegience, w opuszczeniu, była wolna ziemia, nie mieliśmy jej w starych stronach, morga może by wypadła z podziału, przysłizmy tu gospodarować, gospodarujemy, nie żaluję tego kroku, trzymam się mocno, żona też nie żaluje; powtarzam, nie wiem, co drzewo czuje, kiedy zapuszcza nowe korzenie.

Wybaczyć, że tak piszę, ja nieraz myślę patrząc na moją żonę i synów, że jestem takim drzewem, które zapuszczało w tej ziemi korzenie, nie trzeba złego psa, żeby go bronić. Nie potrafię inaczej wyrazić swoich myśli, to porównanie wpadło mi do głowy, kiedy widzę, jak tutaj żyją i rozwijają się moi synowie, jak żona nabiera nowego życia.

Młodzi poeci Warszawy

MACIEJ ZENON BORDOWICZ

Wyrok

Po sezonie, to mnie wydostają z jej gestów zamulonych po sezonie mleko niosa, a barany jak pleśń w słojach podwórzy, zatem z pleców należy ewakuować różę.

Po sezonie, to laska sarna przy rysunku, po sezonie najmowana i brzuch ten sarni jak muszla, gdy odlewa się w owocach jej zasnutę mięso.

Po sezonie, to ucho jak pieczeń w igliwiu, po sezonie pieczeń dzwoniąca, kiedy pierś twoją wylamuje z bluzki, gdy uprzętam w tobie przejście dla osiołka... osiołek się przechyla na jeden bok cytry!

Po sezonie, to jabłoń, ta delta białej nogi, po sezonie w płótnach rozmazana, kiedy upał ustawiam i jachty jak spinki, lub grzebienie w rzecze.

Po sezonie, to wy mnie w jej włosach zakopcie



Pasja wg Katarzyny Drugi sezon po mnie

Wiewiórka, gdy przecieka do kurzu owoców,

Poduszka, gdy lodę krwi odwijam z biodra.
Obraz, gdy strząsana z sukni wargę pędzla.

Zagajnik, kiedy żdźbła żywicy wyplotą cietrzewia.
Moje dłonie wtopione w haft...

niech obstąpi cię szara cytra tej pustyni i lew
wykuje w piachu inicjały twoich stóp.

To, co odżywa mi pod palmą gardła!

Nastąpiż na dolinę, gdy z nasyków ognia spełnie
Iza ślimaka, gdy czeptać się będziemy ręki wodospadu,
zapadać się w podziemia ogrzanego deszczu.

To, co odżywa mi w kotwicach błoder..!

Panienko, dym żegluj pod twą skórą, kładą się topory
ognisk w poprzek twoich zagród.

I jest przeciw tobie drażnienie obrusów, prześlizg
szpaków przez upał, także powrót w chorągiew...
panienko,

cerkiew, spiętrzona ulewa!

Panienko, lecz wyprujmy z siebie plażę, gdy przegniły,
ścieżki, w których nagle oplucze się jaszczurka...

twój oddech, którym rzeźbię promień!

A tobie się brzuch kaleczy o liść doliny, a tobie
panienko strząsa się w poduszki popiołu pleców.
Tobie grzęźnie w brzuchu gruz gwiazdy.

Obraz, gdy strząsana z sukni wargę pędzla.

Przejście dla światła wykopane w portach,

Ryby odstające od szpad.

Drzazga rzeki osmałiła pierś!

O... pewnie wielbłąd fali wykrwawia się w mgłach.

Ciało twe zderzyłem z krwią, przy mnie próchno morza.

Z przygotowywanego do druku
tomu pt. „Sezon po mnie“.

MARIAN OŚNIAŁOWSKI

Miłość

Na bukowej kory śliskość, cierpkosć jarzębiny
wiatr marcowy przed odwilżą na krzyk sowy cię zaklinam,
na odloty wieczorne dzwonów,
białą bajkę ogrodów pod szronem,
na podłesne, szorstkie wrzosowisko,
na jesiennych liściach szeleściaka,
i na wiosną przesiąknięty mrok,
nie wyciągaj po nikogo rąk.



ANDRZEJ IZERSKI

WIDZEWSKI KRÓLIK

Już wówczas, a tym bardziej w latach późniejszych Kon uważany był przez łódzkie środowisko kupców i przemysłowców żydowskiego pochodzenia za szczęściarza. Czego się w życiu tknął — udawało się. Co zamierzył — osiągnął. I szybko miał się ku coraz większym bogactwom — a to był najlepszy dowód, że mu szczęście sorzyja.

Uważano również że szczęści mu się w życiu rodzinnym. Miał przecież dobrą, cichą, troskliwą żonę, prowadzącą mu dom bogobojny, wychowującą dzieci zgodnie ze wskazaniami wiary i przestrzegającą wszystkich tradycyjnych obyczajów i obrzędów. Dochował się też Oskar szczęściora dziećmi. Zaś wedle mniemań jego środowiska dwa były mierniki szczęścia: mnogość pieniędzy i dzieci.

Kon w zasadzie też był zadowolony ze swego życia rodzinnego. Dzieci były udane, z wyjątkiem może syna Maks, który kradł matce pieniądze, od czasu do czasu popijał i zadawał się z dziewczętami lekkiego prowadzenia. No, ale Maks miał wów

gląby złożyć hurtownikowi jako kaucję.

Oskar Kon zgodził się na udzielenie tej dziesięciurobowej pożyczki. Prosił tylko, żeby sprawę załatwić w zupełnej tajemnicy. Gdyby wieść o tym, się rozniosła, nie mógłby opędzić się od „natrętów”.

Ośmielona pomysłem załatwieniem sprawy Maria Konowa zaczęła mówić dalej. Wiele rzeczy leżało jej na sercu. Najpierw sprawy drobne. Uzałża się, że żebrakom, którzy w piątek zbierają pieniądze na świąteczną kolację, daje po jednej kopiejce, a ubożsi nawet siedzi dają po pięć kopiejek. Oskar zgodził się, żeby dawała nawet po dziesięć. „Kiedy ludzie dowiedzą się, że jestem hojny, łatwiej będzie o kredyty” — dodał. Zna sprostregłszy, że Oskar daje posłuch jej prośbom, przeszła od spraw drobnych do bardziej zasadniczych.

Maria Konowa wychowana była, jak pamiętamy, w małym miasteczku, w rodzinie prowincjonalnego kupca. Żyła w zamkniętym i odizolowanym od świata środowisku żydowskim, bardzo

podrzedną w społeczeństwie pozycję i pogromy. Żeby stać się „człowiekiem”, człowiekiem równym nawet rosyjskim urzędnikom — trzeba mieć pieniądze. Choćby taki Poznański... On jest też Żydem, ale sam gubernator ma rzy o tym, aby Poznańscy zaprosili go do siebie na przyjęcie. Mieć pieniądze — znaczy robić ich ciągle coraz więcej. Czas są takie, że wygrywają tylko ci, którzy mają bardzo dużo pieniędzy, coraz więcej pieniędzy. Inni giną w walce konkurencyjnej. Po cóż daleko szukać Przecieli i jego, Oskara Kona zmógł pierwszy lepszy kryzys, gdy za młodu prowadził małą fabryczkę i potem musiał iść służyć Kunizerom. Nie, nie, nigdy nie można mieć dosyć pieniędzy. Oskar Kon bardzo szanuje swojego ojca i ojca żony — Rubinę. Ale teraz czasy się zmieniły. Nie można już być takim jak on człowiekiem.

Maria Konowa niewiele zrozumiała z tego wykładu. W domu Rubinę nie uczy się ekonomii politycznej. Nie została więc przekonana. Na wielkie operacje finansowe

wyrobów Widzewskiej Manufaktury. Tak więc obaj tuczyli się kosztem włoskiego barona.

Tanfani wrócił do Łodzi i zamieszkał w Grand-Hotelu. Przywiózł ze sobą spory kapitał, który zdobył na jakichś ciemnych spekulacjach. Polegały one na zakładaniu spółek akcyjnych i rzucaniu na rynek akcji przedsiębiorstw mających eksploatować nie istniejące złoża diamentów i pola naftowe gdzieś pod równikiem. Kon jął z nim załatwiać liczne interesy. Zarobiona na nich i nie tylko na nich gotówkę zaczął zamieniać na akcje Widzewa.

W roku 1912 w rejestrach fabryki po raz pierwszy pojawił się nazwisko Oskara Kona, jako członka zarządu spółki i dyrektora działu sprzedaży. 15 procent akcji które Oskar posiadał to było niewiele ale za ich pomocą, w sprzyjających warunkach, Kon mógł się pokusić o zawładnięcie Widzewem. Na razie nie rysowały się przed nim tak piękne perspektywy. Przeciwnie, jego pozycja na Widzewie znów była zagrożona.

Tanfani zdradzał chęć sprzedania jeszcze jakiejś ilości akcji Widzewskiej Manufaktury. Groziło to Konowi tym, że włoski baron straci kierownictwo pozycję w fabryce i zakłady przejmie jeden z łódzkich fabrykantów. I Kinderman i Rosenblat i Blderman i wielu innych ostrzyło sobie zęby na Widzew. Zaś Manufaktura tak długo tylko była dla Kona złotym jabłkiem, jak długo jej prezesem był Tanfani, ob-

wość rzeczywistego współrządzenia Widzewem... Na razie wszakże, Kon zajął się innymi interesami. Tanfani nadal był pacjentem, któremu można było upuścić nieco krwi.

Baron wciąż cierpiał na nadmiar gotówki. Chciał więc nabyć w Łodzi jakieś parcele budowlane. Kon oczywiście podjął się roli pośrednika. Wkrótce baron stał się posiadaczem wielkich placów na Marysinie i Julianowie. Ceny ich miały niebawem bardzo skoczyć w górę. Miasto rozbudowywało się. Do dziś zresztą istnieje ślad tej transakcji. Na Starym Mieście jeden z placów nazywają ludzie imieniem Tanfaniego.

Kon zarabiał na tych transakcjach jako pośrednik. Nie o te zyski wszakże mu chodziło. Prowadził bardziej dalekowszyczną politykę. Pragnął mianowicie jak najszybciej zamrozić kapitały włoskiego barona tak żeby nie dysponował on wolną gotówką. Sam zaś Kon — przeciwnie, nie angażował pieniędzy w żadne transakcje handlowe. Liczył na to, że przyjdzie kryzys, następujący zawsze po okresie koniunktury. Wówczas może zaistnieje konieczność wypuszczenia większej ilości akcji Widzewa na rynek. Jeśli Tanfani będzie pozbawiony gotówki — on Oskar Kon wykupiwszy nowe akcje, zwiększy swój, w stosunku do barona, stan posiadania.

Szczupak brał przynętę. Tanfani kupował jak szalony. Kon podsuwał mu nawet swoje własne place, zwłaszcza położone jak najdalej od



(Dokończenie ze str. 2)

Felliniemu. Próbuje rozwijać zagadkę Bergmana, warło by może odwołać się do Szekspira. To porównanie mogłoby chyba wiele wyjaśnić, w tamtych teatrach — podobnie jak u Bergmana — oleodruk zyskiwał rangę artystyczną, także tamta widowiska da się chyba porównać do dzisiejszej widowiskina.

BIALI I CZARNI

Biedni my Polacy, Francja ma antypowiesć, my nie mamy antypowiesci. Francja ma antyteatr, my nie mamy antyteatru. Nie smućmy się wszakże, Francuzi nie mają antypism, a my mamy antypisma. Jednym z antypism literackich — lub też jednym z pism antyliterackich — jest tygodnik niedogdy literacki, „Nowa Kultura”. Literaturę w „Nowej Kulturze” dawkuje się oszczędnie, jeden wierszyk na tydzień, jedna recenzja, i to wszystko. Tych, którzy nie są w stanie strawić bez szkody dla żołądka tasemcowych rozpraw o tematyce społeczno-agronomiczno-politycznej, odesłać wypada — ostatnią stroną „Nowej Kultury”, gdzie znaleźć można informacje na temat sztuki za granicą, tam coś się jeszcze dzieje, tam jeszcze nie zapomniano, że można, mimo wszyskie wstręty redaktorów pism literackich do literatury, łączyć problematykę społeczną z problematyką piarstwa. W ostatnim numerze „N. K.”, na ostatniej stronie, zalecam przeczytanie wywiadu z dnia 14 marca z L'Express z prozakiem murzyńskim Richardem Wrightem. Wright jest autorem kilku interesujących powieści o życiu Murzynów w Stanach Zjednoczonych i — choć nie jest to zapewne pisarz wielkiego lotu — warto by może którąś z jego książek przeczytać i wydać u nas. Ostatecznie, problematyka murzyńska w Stanach podlega ciągłym zmianom i nie można pokoleń za pokolemiem karmić „Chatą wuja Toma” i Caldwellowskimi opisaniami lynchów. Ze Wright ma na ten temat coś nowego do powiedzenia, zapewniam, bo czytałem. Wróćmy wszakże do wywiadu, dotyczy on spraw rasowych, o których myśli się u nas raczej niechętnie i z oporami wewnętrznymi. Wright dostrzega, że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż to się zdaje, świadczy o tym wstrząsająca opowieść o wypadkach, które miały miejsce w Indonezji podczas ostatniej wojny (niestety, opowieść zbyt długa, bym mógł ją tu przytoczyć) świadczy też o tym zamkniętą wywiadu zdania: „W epoce niewiedzy — mówi Wright najintymniejsze stosunki łączą Białych i nieogólników; byłibymy zdumieni dowiedziawszy się dzisiaj, do jakiego stopnia te stosunki były bliskie. Biali udawali, że między Białymi a Czarnymi nie było kontaktu, ale to nieprawda. Biali brali czarne kobiety, których potomstwo utworzyło całą kasty Mulałów, mężczyźni traktowali jak bydło i sprzedawali jak bydło. Wynikła stąd degradacja człowieka — i Biali zaczynają obecnie zdawać sobie z tego sprawę — dotyczyła głębiej Białych niż Czarnych”.

ERAZM

odpisy str. 9

Rozdział III OSKAR KON szykuje się do wielkiego skoku

Szczęściarz. — Pieniądze i dzieci. — Panią Kon gnębi niepokój. — Jej zuchwały, jedyny w życiu dłuższy monolog. — Wielkoduszność. — Oskarowy wykład o „duchu czasów”. — Przymierze z Maksymilianem Goldfederem. — Przynęta na szczupaka. — W przededniu wojny 1914 r.

czas 17 lat i ojciec uważał, że chłopiec wyszumiał się, a potem dojrzał i znacznie „myśleć poważniej”.

Na żonę też nie mógł Kon uskarżać się. Pismo święte, precyzowało idealną żonę, a Maria Konowa wydawała się być bardzo bliska owemu idealowi: poslušna i dobra, traktująca męża z należytym mu szacunkiem — czegoż więcej można było wymagać od kobiety — istoty bądź co bądź „niższej”?

A jednak z błędnym lat Oskar spozstrzegł, że dzieli go od żony coraz większa przepaść. Maria nie rozumiała go — jego życiowych dążeń, ambicji i idealów.

Bodał tylko raz w czasie pożycia doszło do jakiejś zasadniczej rozmowy na te tematy. Pewnego dnia Maria Konowa, która nigdy pierwsza nie odzywała się do męża, zgodziła z tradycją ognieniczącą udział w rozmowie do odpowiadania na pytania męża — zwróciła się do niego z pewną sprawą.

Chodziło mianowicie o stolarza, który pracował na budowie jednego z domów stawianych przez Oskara. Pewnego dnia ów stolarz wyprawiając okienne framugi spadł z rusztowania i od tego czasu leży sparaliżowany. Jego żona i ośmioro dzieci żyli z tego, co znaleźli na śmietniku. Żona stolarza doprowadzona do ostateczności przyszła do Marii Konowej z prośbą o pomoc i wstawienie u męża. Chodził tu rzeczwiście o niewielką pomoc. Najstarszy syn stolarza ma już trzydzieści lat, mógłby pracować. Czy Oskar nie może mu dać jakiegoś zajęcia? Zaś żona stolarza mogłaby wziąć pracę chaluporty. Potrzebuje jednak pożyczki — 10 rubli, które mo-

religijnym, które wszystkie swoje życiowe poczynania ściśle podporządkowywało wymaganiami religii, każdy zamysł, każdy czyn konfrontowała z tym, co na ten temat mówi Talmud.

Teraz Konową gnębił niepokój. Niby ich dom był domem religijnym; pilnie przestrzegano wszystkich zwyczajów. Kon płacił spore sumy na bożnice i gminę wyznaniową, a w piątek wieczorem na świąteczną kolację zapraszał, zgodnie z wymogami tradycji jakiegoś ubogiego Żyda. Ale z drugiej strony Konowej wydawało się, że jej mąż więcej myśli o pieniądzach niż o Bogu, że treścią jego życia jest pogon za majątkiem. I to ponad ich potrzeby. Żyją dostojnie, ich dzieci mają zapewnioną przyszłość... Po cóż więc zabiegać stale o powiększenie majątku? Szczególnie, że te starania prowadzą do tego, że Oskar zrywa z wieloma starymi obyczajami. Ona, Maria Konowa poddajeż, że w czasie swych podróży do Rosji i na Zachód je koszerne potrawy, że uczestniczy, jak słyszała w pijanistwach i orgiach, na jakie nabożny Żyd nie powinien nawet patrzeć. Jednym słowem Oskar nie żyje już tak, jak żył jego ojciec i jej ojciec i ich z kolei ojcowie.

Oskar przyjął ów najdłuższy w życiu Marii Konowej monolog z pełnym spokojem, mimo, że nie nawykł do tego, aby żona wtrącała się w jego sprawy. Tłumaczył jej, że czasy się zmieniły Żydz wychodzą ze środowiskowego getta, w którym ongiś był zamknięty. Getta, które skazywało w elu z nich na nędzę a wszystkich na prześladowania,

męża patrzyła z lekkiem. Skromna tomaszowska mieszkać nie mogła zrozumieć ani swojego męża, ani „ducha czasów”, które nastąpiły.

Nie wracała też nigdy do tej rozmowy. Cicho i pokornie krzątała się po domu Oskara, aż do czasu, kiedy ten, po latach porzucił swoją starą żonę. Stało się to o wiele później. Na razie Oskar nie myślał nawet o takiej ewentualności. Maria Konowa była właścicielką okazałej kamienicy przy ul. Piotrkowskiej 271. Kamienica ta w owych czasach była jeszcze elementem ważnym w jego majątku; obciążając jej hipotekę z łatwością uzyskiwał pożyczki potrzebne mu do dokonywania coraz to śmielszych operacji finansowych.

A właśnie wówczas Kon zawarł przymierze z Maksymilianem Goldfederem, którego niedawno tak szpetnie „wykiwał”.

Widzeńska Manufaktura rychło rozkwitła pod rządami Tanfaniego. Sam baron uporządkował łódzkie interesy wrócił do Włoch i rzadko zaglądał do Łodzi. Zarząd fabryki pozostawiał w ręku bankiera, Goldfedera, korzystając z tego, że pańskie oko jest daleko przeprowadzanie wszelkich manipulacji finansowych fabryki „zlecił” swojemu bankowi. Ciągnął z tego pokaźne zyski. Uzyskane z nich pieniądze lokował w operacjach rosyjskiego Kamsko-Nadwołżańskiego Banku.

Kon przymykał na to wszystko oczy, a w zamian za to Goldfeder nie interesował się prowizjami, jakie Oskar dostawał od rosyjskich kupców przystając na korzystne dla nich warunki przy sprzedaży do Rosji

darzający Oskara bezgranicznym zaufaniem i pozwalający mu — co stanowiło koszty tego zaufania bezkarnie bogacić się na transakcjach związanych ze zbytem towarów w głąbi Rosji.

Kon energicznie przystąpił do działania. Rozpuścił natychmiast w mieście pogłoskę, że lada dzień rząd carski udzieli Widzewowi wielomilionowych zamówień na dostawy dla armii. Tanfaniego zaczęli wręcz napaść liczni kandydaci na nabywców Widzewskiej Manufaktury. Baron przestraszył się, że wymknie mu się z rąk złote jabłko. O sprzedaży akcji nie było już wiecej mowy.

Oskar Kon miał teraz wespół ze sprzymierzonym ze sobą Goldfederem znaczny pakiet akcji Widzewa. Spółki ewentualnego odkupienia tej części akcji, którą władała jeszcze rodzina Kunizerów. Gdyby Tanfani sprzedał trochę swoich akcji, mógł na by było, w wypadku ich rozdrobnienia, uzyskać możłi-

centrum, wiedząc, że to trudniej jest w warunkach kryzysu sprzedać za gotówkę.

Przyszedł rok 1914. Wojna wisiała w powietrzu. Tanfani spieszenie wyjechał z Łodzi. Był włoskim poddanym. Spodziewano się że Włochy wystąpią w czasie wojny po stronie Niemiec. Władze rosyjskie mogły go więc internować.

Przed samym wybuchem wojny Goldfeder ulokował jeszcze nową porcję aktywów w głąbi Rosji. Oba te fakty — wyjazd Tanfaniego i rosyjskie interesy Goldfedera miały wielce pomóc Konowi w zrealizowaniu życiowych ambicji.

Na razie jednak Oskar nie wiazał żadnych określonych nadziei z tymi bagatelnymi niby faktami. Kiedy w całej niemal Europie rozlepiano afisze mobilizacyjne, zaczął rece i szykował się do skoku, którego kierunku w tym momencie nie mógł jeszcze przewidzieć. Wiedział tylko tyle, że wojna stworzy nowe możliwości.

ZA TYDZIEŃ

Kij na Tanfaniego

Okupacja, stagnacja i czarnorynkowe interesy. — Zaufani papa barona. — Demontaż łódzkich fabryk. — Oskar Kon jedzie do Berlina. — Nominacja na generalnego dyrektora. — Oskar Kon odkrywa w sobie pokłady patriotyzmu i kokietuje robotników. — Robotnicy ukrywają maszyny. — Bankructwo Goldfedera. — Delikatna a dalekowszyczna operacja dwuznacznego patrioty. — Wima sama na placu. — Rewolucyjne nastroje na Widzewie i w Łodzi. — Oskar Kon pertraktuje z robotnikami i... wyjeżdża za granicę. — Kredyty banku włoskiego. — Delegacja Widzewa wita premiera Paderewskiego. — Gra na dwa fortepiany. — Konowa filozofia kija,

Aktor w telewizji

JERZY ANTCZAK: — To jest trochę tak jak startować na Olimpiadzie

Przerwaliśmy w polowie. Jerzy Antczak — znany reżyser telewizyjny, autor m. in. takich spektakli jak „Wienna rzeka” czy „Złota karoca”, wywiadem z którym chcieliśmy rozpocząć cykl rozmów na temat pracy aktora w telewizji — w pewnej chwili zadumał się, popatrzył z głębokim namysłem na trzymaną w ręku filiżankę kawy i powiedział:

— A jednak, myślę, najwygodniej byłoby rozmawiać we trójkę. Któryś z aktorów telewizyjnych, pan, no i ja — reżyser. Umówmy się — powiedzmy — jeszcze z Michałem Pawlickim, miałem z nim nie raz okazję pracować.

— Znakomicie, umówmy się — powiadam. — Ale teraz przynajmniej naszkicujmy, o czym będziemy rozmawiać.

Naszkicowaliśmy. Będziemy więc przede wszystkim rozmawiać o tym, że praca aktora w telewizji nie można w pełni przyrównać ani do pracy aktora w filmie, ani do pracy aktora w teatrze. W tym pierwszym wypadku może on powtarzać ujęcie za ujęciem, zanim reżyser nie powie: „dość”, a i to jeszcze nie będzie wiedział, czy dane ujęcie zosta-

nie w rezultacie w film wmontowane. — Istotną sprawą w filmie jest przeżywanie — mówi Antczak. I chyba ma rację.

Znow teatr to sprawa poprawek w czasie. Aktor raz może zagrać niefortunnie swoją rolę, nazajutrz się poprawić — w telewizji nie;

powiada Antczak — taki Gustaw Holoubek w czasie spektaklu „Mario i czarodzieje” — sypnął się. Po prostu się sypnął, ale potrafił też natychmiast się opamiętać i zagrać dalsze sceny znakomicie. W czasie powtórnej realizacji tej audycji, nie było sypki, ale i nie

Do czego by ją przyrównać — chyba tylko do występu na Olimpiadzie — tam również, obok talentu oczywiście, decydują nerwy i zdolność ogromnego skupienia się...

J. PANASEWICZ
Za tydzień: Rozmawiamy we trójkę.



wszystko idzie „na żywo”, wszystko natychmiast dociera do telewidza.

A więc będziemy mówić o sprawie nerwów — tak, na pewno, o sprawie nerwów.

Dalej — o samotności telewizyjnego aktora, który nie wie, czy zagrał akurat dobrze, czy źle. O konieczności ogromnej koncentracji i ogromnego skupienia. Ot —

wyniosłem już tego wrażenia.

Kolejna sprawa — to pamięć. Sufler w telewizji jest nie do przyjęcia — jego szepcący zamęcza natychmiast klarowność widowiska, rozbija je.

Wreszcie — samoświadomość. Audycja jest ustawiona i zaplanowana tak a tak — to pójdzie z pierwszej kamery, to z drugiej, to z trzeciej. Nie wolno się zapomnieć, nie wolno się „zagrać” jak mówią aktorzy, bo trzeba w danej chwili stać właśnie w tym, a nie w innym miejscu, trzeba być tak, a nie inaczej oświetlonym.

— Grać poruszając się po z góry ustalonych liniach, grać nie wiedząc, czy gra się dobrze, będąc właściwie sam na sam w telewizji, kiedy patrzy na ciebie kamera, a żuraw z mikrofonem wisi przed ustami — oto czym jest praca aktora w telewizji.

Zobaczymy Olimpiadę w Tokio?

Poważni ludzie z telewizji oświadczają nam, że spać możemy spokojnie i że na pewno, ale to na pewno będziemy oglądali na małym ekranie Olimpiadę w Tokio.

Rzecz sprowadza się do przetrzeźwienia łączy na kontynent, prace te jednak są już na tyle posunięte, że cztery lata to aż za dużo czasu.

Spotkanie

Mamy do odnotowania chyba ciekawy pomysł telewizji łódzkiej — mając w perspektywie przygotowanie audycji młodzieżowej na 6 października, telewizja zaprosiła młodzież ZMS-owską do studia, a ściślej do tzw. „akwarium”, gdzie obejrzała ona podobną audycję idącą z Poznania. W dyskusji wyjaśniono się wiele spraw — m. in. to, czego spodziewa się młodzież po audycjach z cyklu Młodzieżowego Klubu Dyskusyjnego.



Szanowny Panie Redaktorze!

Z prawdziwą przyjemnością wzięłam do ręki 38 numer „Odgłosów”. Wierzę w zwycięstwo przypadku — bo na ogół tego nie czynię.

To bardzo dobrze, iż jedyny tygodnik łódzki zdecydował się wreszcie poruszyć w rzeczowy — i jak sądzę konstruktywny sposób — sprawę „Pracy L. O. T.”.

W uwagach redakcyjnych p. „A jednak burza trwa” zaniepokowało mnie tylko to, że Redakcja pozostawiła bez komentarza — chociaż inne sfery młotowania komentowała ostro i słusznie — tłumaczenie się Dyrekcji L. O. T. „zależnością” od Warszawy.

„Warszawa” nas przytłacza, „Warszawa” nie pozwala... nie dopuszcza... skąpi pieniędzy etc. etc. Cóż za tyran!

Wydaje mi się, że zbyt skłonny jesteśmy tłumaczyć niedostatek rozwoju kulturalnego w naszym mieście — nie tylko w zakresie TV — zależnością od Warszawy. Oburzamy się, kiedy ktoś TAM powie iż jesteśmy jej uboższą i — last but not least — ulomną siostrą, ale z drugiej strony sami się w sytuacji takiej siostry stawiamy.

Jeżeli „Warszawa” rzeczywiście nie dopuszcza, przytłacza i nie pozwala — to, darujcie, słusznie czyni!

Czy przyjałby Pan, Panie Redaktorze, do zespołu redakcyjnego swego pisma kogoś, kto — ba, rokuje nadzieje — ale nie zna ortografii?

W dniu wczorajszym magazyn ZMS „Panorama i zbliżenia” nadawany był z Łodzi w programie ogólnopolskim. Obejmował sprawy łódzkiego środowiska młodzieżowego i przygotowała go redakcja — tuszę sobie Dyrekcja L. O. T.

I cóż zobaczyliśmy! Biedną, drzącą, stremowaną studentkę PWSSP, z rozmowy z którą bynajmniej nie wyniknęła specyfika tej uczelni, powiązanej z przemysłem włókienniczym Łodzi.

Zobaczyliśmy wstawkę filmową pokazującą, jak „szumią w Łodzi wrzeczona” — rzecz, o której wie każdy małeć w Polsce.

Zobaczyliśmy młodzieżową orkiestrę rozrywkową — jakich wiele.

Usłyszeliśmy rozmowę o brygadach pracy socjalistycznej, której wątek był dziwnie trudny do uchwycenia.

I na koniec jeszcze jedna rozmowa, tym razem z przew. K. L. Z.M.S., której tematem była m. in. budowa jakas podjęta przez łódzką młodzież, budowa, o której w Polsce głośno. Lecz budowy tej nie widzieliśmy!

Czego w magazynie nie było — wszyscy, którzyśmy magazyn oglądali — wiemy. Wiemy, bo każdy szary łódzki przechodzień czuje te swoją „Łódź robotniczą i studencką” — jak ładnie zaczął prowadzący magazyn, redaktor z Warszawy.

Huk był niemały w zeszłym roku, kiedy zaatakowane zostało istnienie, właśnie w Łodzi, Państwowej Wyższej Szkoły Teatru i Filmu. Pamiętając „Krzyżaków”, powieździeliśmy, iż poszły w ruch najostrejsze miecze.

Wczoraj była okazja żeby do tej sprawy wrócić, żeby — jeśli naprawdę jesteśmy co do tego przekonani — całej Polsce pokazać, że Szkoła w Łodzi kwitnie, a nie więdnie.

Tymczasem pokazaliśmy, iż wędnie program łódzki. Nie czas teraz, by poruszać sprawę lokalnego programu publicystycznego — ale przy innej okazji i jego marginalność, brak dynamiki dziennikarskiej (może marazm, jaki mu coraz bardziej grozi) proszą się o dyskusję.

Nikt nie wkłada do wazonu zwiedzionych kwiatów. Nie tłumaczmy się, że „Warszawa” nie pozwala, jeśli nie mamy — lub nie potrafimy — nie jej dać.

JOLANTA MACH

W tym tygodniu radzimy obejrzeć...

Poczynając od czwartku 29 bm. O godz. 17.00 — program dla dzieci. Następnie PKF, od 18.00 blisko godzinna przerwa, o 18.50 Łódzka Kronika Filmowa, o 19.05 fragment koncertu laureatów VI Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego.

O 19.30 dziennik telewizyjny, o 20.00 inscenizacja z cyklu Estrada Literacka — „Karuzela życia” wg Henry'ego. Rzecz idzie z Warszawy.

Wreszcie o 20.45 z Łodzi w programie lokalnym film fabularny produkcji NRD — „Szesnaście lat”. Dozwolony również od lat 16. Raczej słaby.

W piątek 30 bm. program zaczynamy o godz. 18.30 reportażem z Katowic pt. „Zadymione słońce”. O 19.00 pozycja zawsze chętnie oglądana przez telewidzów — składany program filmowy pt. „Wspomnienia o gwiazdach”.

Następnie dziennik telewizyjny, Wszechnica Telewizyjna (o 20.00) — wykład pt. „Różne formy energii w przyrodzie”, program publicystyczny z Łodzi o 20.45 kolejny film produkcji NRD „Oddajcie mi dziecko”. Znow — niestety — nie najciekawszy.

Sobota 1 października. Program dość gęsty i interesujący — sprawozdanie sportowe z Warszawy, o 15.55, o 18.15 film dla dzieci o nieustalonym jeszcze tytule, potem godzinna przerwa, o 19.30 dziennik telewizyjny.

O 20.05 — magazyn „Nie tylko dla pań”.

20.35 — program tygodnia, 20.45 — film krótkometrażowy z Łodzi.

20.55 — program rozrywkowy z Berlina nadany w ramach Interwizji pt. „Od melodii do melodii”.

22.15 ostatnie wiadomości z Warszawy i na koniec o godzinie 22.30 również z Warszawy program rozrywkowy pt. „Co kto lubi”.



KUPIĆ, NIE KUPIĆ

Jeszcze jeden łodzianin

Czytelnicy nasi pamiętają zapewne karykaturę dyrektora Teatru Nowego, Kazimierza Dejmka, dzieło mistrza Andrzeja Stopki, reprodukowaną w „Odgłosach” za „Życiem Literackim”.

Ostatnio Stopka sportretował drugiego łodzianina, znanego malarza Jerzego Nowosielskiego. Oto on.



Warto przeczytać

Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazała się ostatnio książka Grzegorza Timofiejewa pt. „Człowiek jest nagi”.

Nazwisko Timofiejewa łodzianom znane jest doskonale, a fragmenty jego ostatniej powieści publikowały „Odgłosy” i „Głos Robotniczy”.

„Człowiek jest nagi” to opowieść-wspomnienie z hitlerowskiego obozu śmierci, opowieść napisana niezwykle śmiało i bardzo interesująco.



Niezły pomysł

Na niezły pomysł wpadł ostatnio ruchliwy i żywoty „Puchatek”. Otóż studenci-spółdzielcy zorganizowali w sali klubu sportowego „Spółem” (Północna 36) kino-kabaret.

Jeśli nawet nie mamy zbyt wielkiego zaufania do poziomu produkcji estradowych (na Północnej występować mają pono również amatorzy) to jednak zamierzenia repertuarowe „Puchatka” są wcale ambitne.

Na seanse kino-kabaretu składać się będą najwybitniejsze dzieła kinematografii

współczesnej i dawnej. A to zrekomensować może nawet najbardziej nudny program „rozrywkowy”.



Goście w Łodzi

Tym razem miniony tydzień obitował w wizyty gości reprezentujących najróżniejsze dziedziny nauki, kultury, oświaty i prasy spotkał się przed kilkoma dniami członek Biura Politycznego KC PZPR Roman Zambrowski.

Roman Zambrowski wziął również udział w obradach Plenum Komitetu Łódzkiego Partii.

Poza tym przybyła również do naszego miasta na

gościnne występy 120-osobowa orkiestra Filharmonii Czeskiej. Goście dali koncert, który wśród łódzkich miłośników cieszył się dużym powodzeniem.

I wreszcie, żeby obraz wizyt był pełny, dodajmy, że bawili także w Łodzi znany pisarz polski Wojciech Zukrowski oraz dramaturg bułgarski (autor sztuki wystawianej przez Teatr Ponięć do naszego miasta na

Kto zna Ary Sternfelda

Prof. Ary Sternfeld, jeden z twórców radzieckich sputników i rakiet kosmicznych, urodził się 55 lat temu w Sieradzu, a gimnazjum kończył w naszym mieście. Były to lata 1932—33.

Były to lata 1932—33, w którym mieszkał czony, gdyby się z nim w tej sprawie skontaktowano.

na rogu Więckowskiego i Wólczanńskiej.

A może ktoś pamięta Ary Sternfelda z czasów łódzkich? Redaktor niniejszej rubryki byłby bardzo wdzięczny, gdyby się z nim w tej sprawie skontaktowano.



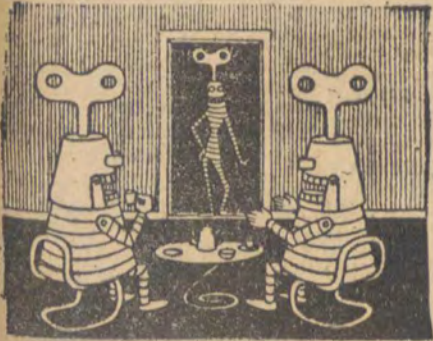
Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 66. Tel. 344-72. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 6,— kwartalnie zł 15,—. Redakcja nie zamawia reprintsów nie zwraca O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPK „Ruch” — z oznaczeniem na „Odgłosy” O Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. O Zam. 2877. IX. 68. R-4

Najostriejsze ołówki świata

HAEM



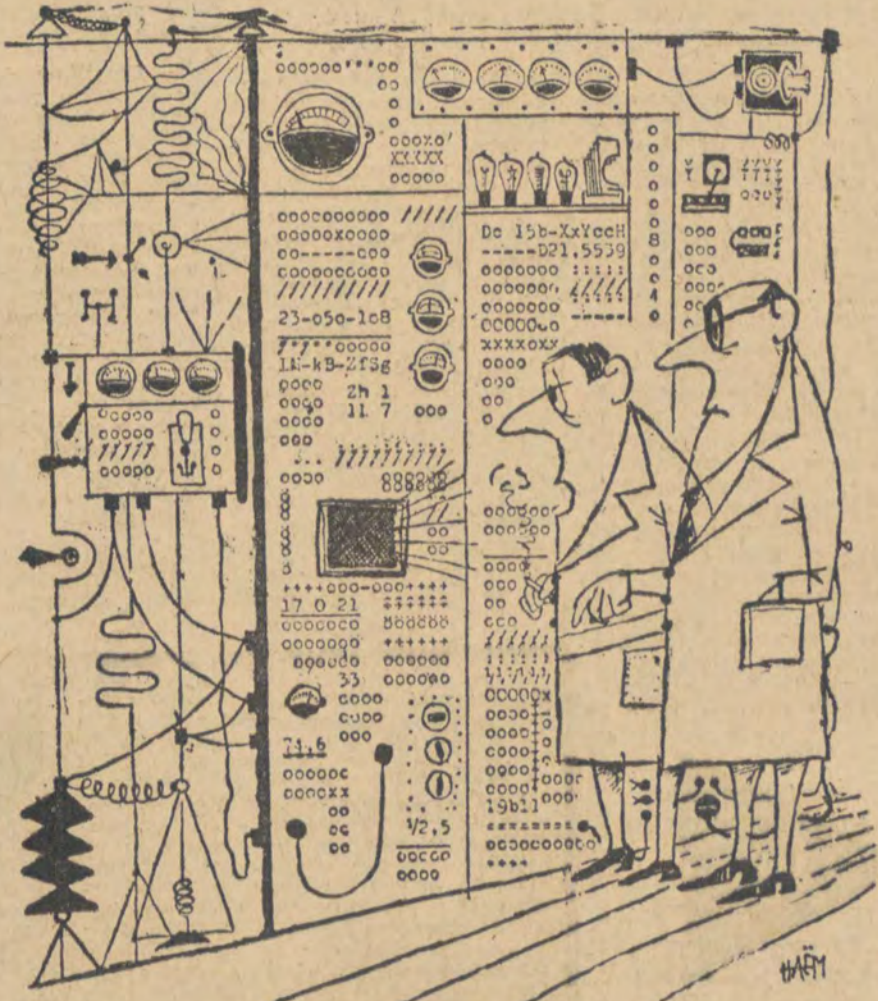
Bez słów



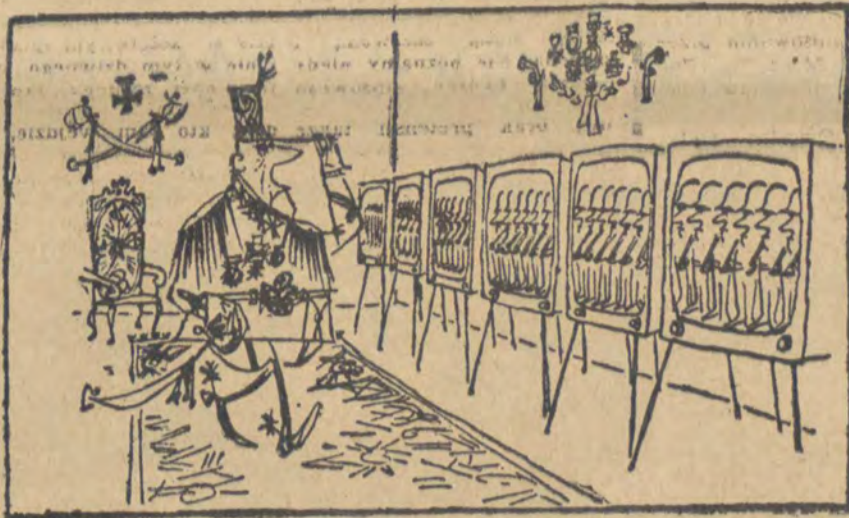
Jestem dumny, że moja córka zdobyła tytuł Miss Universum...



Podobno przed tysiącem lat — my, ludzie — byliśmy klasą panującą...



—Od godziny powtarza, że go głowa boli...



Próba generalna

Humor szwajcarski na ogół wiernie odbija nastroje tradycyjnej neutralności: grzeczny, pozbawiony satyrycznych cierpkoci, a jednocześnie uparcie konserwujący dawne, mocno już zwierzające formy i treści. Pewnie dlatego żarty Haema mają większą popularność niż mdłe nieco rysunekci jego kolegów. To jeden z nielicznych humorystów szwajcarskich, któremu o coś chodzi.

Haem — nazywa się on w rzeczywistości Hans Ulrich Meury — urodził się w Bazylei w roku 1928. Przez krótki czas studiował, a jednocześnie praktykował sztukę złotniczą i jubilerstwo. Od 1953 roku poświęcił się wyłącznie żartom rysunkowym i grafice reklamowej — to pozostaje jego wyłącznym źródłem utrzymania (we Włoszech, gdzie obecnie mieszka, należy więc do wyjątków, tam humorysty muszą pracować w biurze). W Szwajcarii ceniony jest od chwili opublikowania pierwszych prac, we Włoszech nabrał rozgłosu

dopiero po wystawie swych prac w czerwcu 1957.

Haem jest rysownikiem w gruncie rzeczy pogodnym, wyjąwszy jeden określony temat, który stał się jego obsesją: świat mechaniczny. Wątpliwe, czy u podstaw tej obsesji istnieją jakies osobiste antypatie — jak na przykład przykre doświad-

czenia ze służby wojskowej rzutowały na całą twórczość francuskiego karykaturzysty Bosca. Bardziej prawdopodobne, że Meury poddał się lekowi artystów i humanistów przed supremacją cywilizacji technicznej. Te obawy — zwłaszcza na Zachodzie — są dość powszechne.

Na razie jednak Haem zachowuje proporcje: gdy pokazuje współczesną technikę — nie przekracza granic ironii. Gdy sięga dalej, w fantastyczną epokę robotów — dopiero wówczas staje się katastroficznym...

(Jeri)

Czy zna Pan(i) miasto Łódź?

Dalszy ciąg ze str. 1

łączna długość wynosi około 1200 km a więc mniej więcej tyle co z Łodzi do Brukseli.

Dlatego też pytanie postawione na wstępie nie jest tak zupełnie pozbawione sensu. Przeciętny obywatel wielkiej Łodzi zna ją tylko „na wrywki” i to przeważnie dość powierzchownie. I prawdę mówiąc, zaabsorbowany swoimi codziennymi sprawami nie odczuwa potrzeby wszechstronnego poznania swojego miasta, co nie oznacza, żeby przy okazji nie lubił czegoś nowego się o nim dowiedzieć.

Pierwszą ze znanych prawd, którą warto jeszcze raz podkreślić, jest to, że myśląc, mówiąc czy pisząc „Łódź” określamy jedną krótką nazwą „rzecz” bynajmniej nie małą, zróżnicowaną, a ponadto dającą się podzielić na mniejsze części. Bo, na przykład, jeśli pytamy kogoś, gdzie mieszka — wymieni nazwę ulicy i numer lub poda nazwę części miasta, osiedla czy dzielnicy. Przy czym przeważnie będzie to jedna z nazw obiegowych, nie „urzędowych”, jakie noszą dzielnice administracyjne. (Zaledwie w kilku wypadkach obie te nazwy pokrywają się ze sobą). Informacje zebrane w toku badań socjologicznych na terenie całego miasta mówią, że w Łodzi używa się aktualnie około 60 nazw oznaczających różne jej dzielnice, osiedla czy zakłki. Nazwy te poza kilkunastoma wyjątkami, używanymi w administracji czy budownictwie, są na ogół mało znane. Do takich należą na przykład Żelazówka, Grünbach, Klapitka, Berlinek i wiele innych.

Oczywiście, same nazwy nie świadczą o niczym. Problem powstaje z chwilą, gdy zadajemy pytanie, czy za różnymi nazwami, występującymi w świadomości mieszkańców, kryją się określone obszary, charakteryzujące się odmiennymi cechami społecznymi, demograficznymi, architektonicznymi a przede wszystkim odmiennymi funkcjami w całości miasta.

Wyobraźmy sobie, że krąży helikopterem wysoko ponad Łodzią, rozpoczynając najlepiej od centralnego punktu miasta — skrzyżowania ulic Piotrkowskiej i Tuwima. Pod nami rozciąga się szachownica ulic, dość regularna w centralnej części Łodzi, coraz bardziej chaotyczna i na ogół rzadsza w miarę przesuwania się w kierunku granic miasta. Im dalej od śródmieścia tym więcej wolnych od zabudowy terenów. Wreszcie zabudowa miejska już tylko gdzieś widać widać na... uprawnych polach. Prawda — około 43 proc. administracyjnego obszaru Łodzi zajmują tereny rolne.

Przeglądając się bacznie z lotu ptaka całości miasta zaczynamy powoli wyróżniać obszary mniej lub bardziej zwartej zabudowy mieszkalnej, pooddzielane od siebie liniami kolejowymi, kompleksami urządzeń przemysłowych, miejską zielenią czy po prostu resztkami terenów wiejskich. Gdybyśmy teraz zapytali mieszkańców na tych wyodrębniających się przestrzeniach ludzi, gdzie mieszkają, okazałoby

się, że to są właśnie te nowe odrębne nazwy tradycyjne dzielnice czy nowe osiedla. Są to, mówiąc językiem socjologii „naturalne dzielnice miasta”.

Wyobraźmy sobie dalej, że przedłużyliśmy naszą lot nad Łodzią. Zapadła noc i umówiliśmy się z wszystkimi łódzkimi naukowcami, lekarzami, adwokatami i innymi wysoko kwalifikowanymi pracownikami umysłowymi, że o oznaczonej godzinie wyjdą przed swoje domy na ulice i zaświecą latarkami w niebo. Okazałoby się, że regularna szachownica ulic śródmieścia rozbita tysiącami światełek. Trochę światełek pojawiłoby się na terenach przedwojennych i nowych osiedli mieszkaniowych, trochę na Julianowie. Pozostałe obszary dzielnice naturalnych tylko z rzadka lub wcale okraszone byłyby pojedynczymi światełkami.

Doświadczenie takie, przedstawione w wymyślonej formie, pozwoliłoby nam wyprowadzić wnioski o zróżnicowanej społeczno-przestrzennej strukturze naszego miasta. Ale nie przerywajmy naszego nocnego lotu. Zgasły już światełka — sygnalizujące miejsca zamieszkania przedstawicieli łódzkiej inteligencji, a my zaczynamy na ciemniejących pod nami obszarach Łodzi szukać reflektorów, zapalonych na nasze życzenie przed siedzibami ważniejszych urzędów, instytucji społecznych i kulturalnych obiektów rozrywkowych. I znowu bliżej osi ulicy Piotrkowskiej i kilka sąsiednich ulic. Dalej... Moglibyśmy jeszcze długo wywoływać na takiej naturalnej mapie Łodzi rozmaite zagadnienia społeczne jak, na przykład, konsumpcję kulturalną, zdrowotność, przestępczość, itd. itd., ustalając ich przestrzenną lokalizację na obszarach całego miasta czy poszczególnych dzielnic naturalnych. Dobrze — powie cierpliwy czytelnik — ale co i dla kogo wynika z takich badań i doświadczeń?

Wszyscy wiemy, że Łódź niezależnie od naszej do niej sympatii czy przywiązania posiada jeszcze bardzo wiele niedostatków i zaniedbań. Wiemy także, że leżące na sercu wszystkim łódzianom przeobrażenie Łodzi w nowoczesny ośrodek wielkomiejski, w którym się będzie przyjemniej i wygodniej żyć, jest przedmiotem szczególnej troski władz miejskich i niezmiernie skomplikowanym i odpowiedzialnym zadaniem, stojącym przed urbanistami i budowniczymi. Realizacja przygotowanych planów etapowego i perspektywicznego zagospodarowania przestrzennego miasta wymaga wielu studiów i badań do starszających możliwie dużo usystematyzowanych informacji. Trzeba ściśle wiedzieć, jak wygląda ta rzeczywistość, której oblicze chcemy zmienić. Przytoczone powyżej pokrótce informacje pochodzą ze studiów nad Łodzią prowadzonych w wyniku współpracy urbanistów z socjologami. Ale bardziej szczegółowo o potrzebach i spodziewanych wynikach tej współpracy już innym razem.

WACŁAW PIOTROWSKI



NASZA KRZYŻÓWKA

Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 1) Ryba, 3) promień, 5) pieśń, śpiew, solowy, 9) Mikołajczka rozrywek umysłowych, 10) Z góry obmyślana celowość środków wiodących do czynu, 11) Dół, 12) Podstawa, fundament, 13) Zwierzę.

Pionowo — 2) Zaburzenia pamięci, przyjmowanie zjawisk nowych za znane, 3) Balagan, 4) Czyn, 6) Taniec węgierski, 7) Miesiąc, 8) Obawa.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

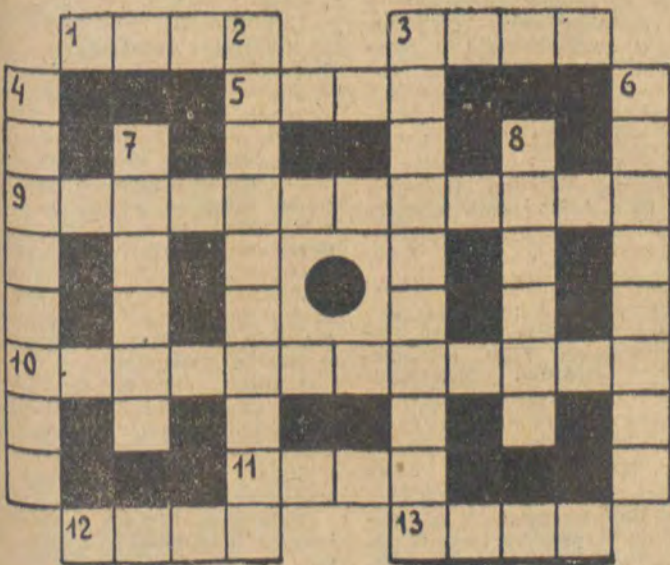
Rozwiązanie krzyżówki z poprzedniego numeru:

Poziomo — garbarz, skowronka, Lublin, antena, galon, palto, Irena, szafran, palma, aktor, Kongo, legato, baobab, parosol, zagadka.

Pionowo — galop, balet, ring, kran, aster, arara, kalafonia, osa, Ina, polip, Mława, krowa, Rabka, koło, Obra.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Krystyna Majeranowska, Łódź, ul. Śląska 168.
2. Leszek Borsuk, Łódź, ul. Narutowicza 94 m. 9.



PROBLEMY KINA STUDYJNEGO



W łódzkiej prasie codziennej nic się prawie nie pisze o tym kinie. Dziwna zmowa milczenia — choć przecież kino studyjne w Łodzi jest wielce pożyteczną placówką kulturalną, ma to tego, mimo tak zwanego „trudnego repertuaru” cieszy się znaczną popularnością. „Gdynię” odwiedziło w ciągu pierwszego półroczia bieżącego roku 75.671 widzów. Przeciętna frekwencja w kinie studyjnym wyniosła 61,8%, co jest liczbą dość dużą w stosunku do przeciętnej frekwencji wszystkich kin łódzkich, wynoszącej w ciągu 6 miesięcy bieżącego roku tylko 49,5%.

Inicjatorem uruchomienia kina studyjnego w Łodzi (pierwszego w Polsce!) był profesor Wyższej Szkoły Filmowej dr Bolesław Lewicki, który obecnie przewodzi — czy komisji konsultacyjnej do spraw repertuaru tego kina, będącej organem doradczym Zarządu Kin i Centrali Wynajmu Filmów.

Jakimi kryteriami kieruje się komisja zalecając filmy do rozpowszechniania w kinie studyjnym? — pytamy dr Lewickiego.

Powinny to być przede wszystkim filmy na dobrym poziomie artystycznym, filmy stawiające przed widzami jakiś problem moralny lub ideowy. Staramy się więc wprowadzać te filmy na ekran kina studyjnego po ich obiegu w kinach zwykłych, wychodząc z założenia, że tak jak do dobrej książki czytelnik powraca nawet po

kilka razy, tak samo widz na przeciętnym poziomie kulturalnym chętnie obejrzy ulubione i interesujące go filmy. Staramy się również by odpowiednie miejsce zajęła klasyka filmowa w repertuarze „Gdyni”. I tak na przykład, w listopadzie planujemy dać pokazy „Pancernika Piatomkina” i „Aleskandra Newskiego” Eisensteina, „Matki” Pudowkina, „Ryszarda III” Oliviera. Zapewniłoby sobie niełatwa co prawda, ale pożyteczną współpracę z Federacją Dyskusyjnych Klubów Filmowych, korzystamy z filmów przeznaczonych do rozpowszechniania w tych klubach. Planujemy więc, o ile nam się to uda, zorganizować

projekcję jednego z pierwszych filmów hiszpańskiego reżysera Bardena — „Aktorzy” i słynnego filmu Bunuel — „Los Olvidados”.

— Swego czasu projektowano urządzić w kinie studyjnym prelekcje na temat wyświetalnego filmu. Czy ten projekt definitywnie upadł?

— Doszliśmy do wniosku, że prelekcje przed każdym filmem byłyby może zbyt nużące dla widzów, dlatego będziemy zapoznawać widzów z problematyką filmu, przedstawiać jego wartości artystyczne i formalne oraz sylwetki twórców — w Biuletynie Informacyjnym, kolportowanym na miejscu w kinie. Nie znaczy to, że zupełnie zrezygnowaliśmy z prelekcji. Będziemy jednak wygłaszać je tylko przed pokazami tzw. filmów trudnych, wieloprotobowych. Taką specjalną prelekcją chcemy poprzedzić znakomity film Resnaisa „Hiroshima moja miłość”.

Przy okazji chciałbym wysunąć propozycję zorganizowania szerszych dyskusji

nad niektórymi filmami, nad pewnymi ostatnio zachodzącymi zjawiskami twórczymi w kinematografii światowej. Może na przykład środowisko dziennikarskie w Łodzi mogłoby pierwsze pokusić się o zorganizowanie takich dyskusji? Również chętnie widzielibyśmy udział zainteresowanych filmem dziennikarzy łódzkich w ustalaniu repertuaru kina Studyjnego.

— Na zakończenie uprzejmie prosimy o zapoznanie nas z repertuarem kina Studyjnego w październiku.

— Pokażemy widzom „Złotą karocę” Renoira, „Siedmiu Samurajów” Kurosawy, „Hiroshima” Resnaisa, „Protestuję” Dońskiego, wreszcie „Świadka oskarżenia” Wildera i być może Bardema „Aktorów” — film, który uzupełnia w jakiś sposób późniejsze dzieła tego reżysera: „Śmierć rowerzysty” i „Główną ulicę”.

Rozmawiał:

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Z REPERTUARU KINA STUDYJNEGO

(od góry)

„Komedianci”

„Pancernik Piatomkin”

„Złodzieje rowerów”

MIESZANKA FILMOWA

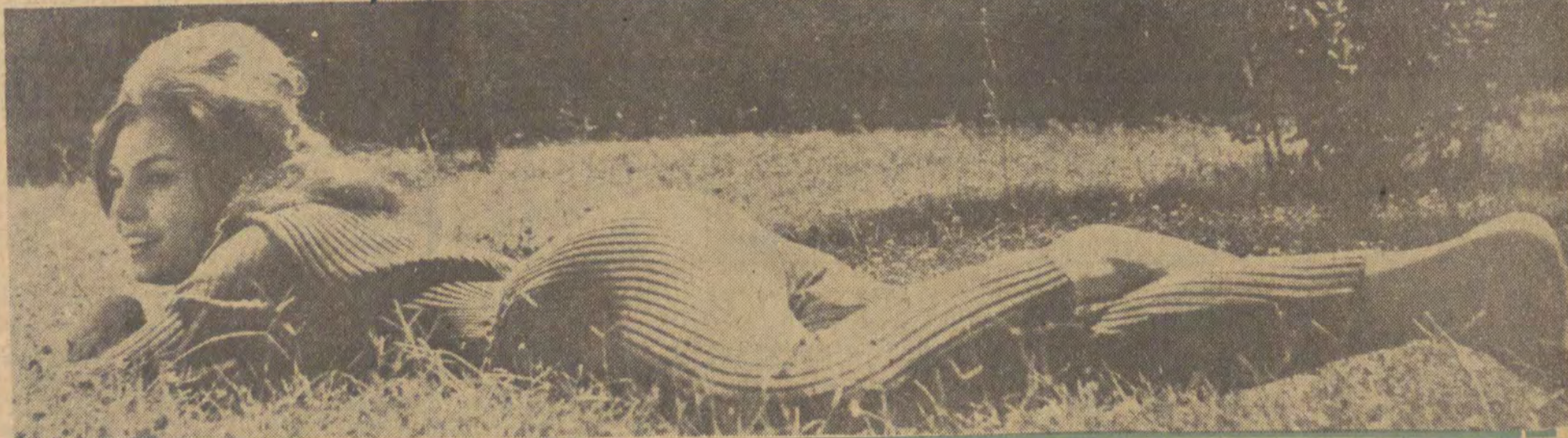
MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

OGLĄDAĆ NIE CHCEMY



ROSANNA SCHIAFFINO



Marek Doński specjalizuje się niejako w ekranizacji utworów Maksyma Gorkiego — ma już na swym koncie „Matkę”, „Dzieciństwo”, „Moje uniwersytety”, „Wśród ludzi”.

„Protestuję”, to jego kolejna adaptacja Gorkiego — tym razem „Fomy Gordiejewa”.

ne konsekwencje tego buntu są jednak dla współczesnego widza już dość odległe.

Markowi Dońskiemu nie udało się wydobyć z postaci Gordiejewa cech ponadczasowych, uniwersalnych. Postać Gordiejewa jest żywa tylko w określonej rzeczywistości filmowej. Czy wo-

„PROTESTUJĘ”

wa — nagrodzona Srebrnym Złotem na festiwalu w Locarno.

Jakkolwiek film posiada wiele niewątpliwych zalet, to przecież trudno odczuć wrażeń jakiegokolwiek niedostatku. Niezorganizowany, bezradny bunt bohatera filmu stojącego w pojedynkę przeciwko klasie kupców i zało-

bec tego ta rzeczywistość jest dla widza interesująca? Na pewno tak — jako egzotyka. Przecież to „stara Rosja”: świetne sylwetki prymitywnych i przebiegłych brodaczy — kupców, bezceremonialnie potrząsających kiesą; biedny źle odziany, ale prężny lud nadwołżański sama Wolga, wielka, monumentalna...

W STUDIO FILMÓW ŁALKOWYCH

„Co nas czeka?” — pod tym tytułem pisaliśmy o polskich filmach fabularnych, gotowych lub realizowanych. „Co NAS czeka?” — tego tytułu nie możemy niestety użyć w stosunku do filmów lalkowych, produkowanych przez studio tuszynskie. W

kinach oglądamy je od wielkiego dzwonu, w telewizji — łatwiej zobaczyć kreskówkę Disneya sprzed lat trzydziestu, niż nowy film Wasilewskiego czy Hornickiej. Lepiej chyba zna polskie filmy lalkowe... widz zagraniczny...



Z filmu reż. Zenona Wasilewskiego „Uwaga — diabeł” Fot. M. Bielons

Może się jednak OZK kiedyś wreszcie zlituje nad dorosłymi i niedorosłymi amatorami filmów animowanych Tymczasem zaś — poznajmy choć wrywkowo i z opowiadania niektóre co ciekawsze pozycje tuszynskiej wyciornki.

„NIE DRAŻNIC LWA” (scenariusz i reżyseria — Tadeusz Wilkosz). Opowieść o lwie, który uciekł z ogrodu zoologicznego i został... królem.

„PAN SZARACZEK” (Scenariusz i reżyseria: Kazimierz Oracz, Ryszard Raduszewski). Film wycinanekowy (rzadka technika!), przygody szarego osobnika, który chciał się upodobnić do kolorowego otoczenia...

„ROMANSE” (reż. Józef Skrobiński). Rysunkowy film w dwóch częściach o... miłości. W pierwszej części poznajemy parę bohaterów,

stworzonych z nitki, druga część natomiast opowiada o niefortunnym romanse toreadora.

„UPIÓR W PALACU” (scenariusz i reżyseria Lidia Hornickiej). Jest to swobodna adaptacja znanego opowiadania Oskara Wilde’a. W pałacu angielskiego arystokraty, nabytym przez bogatego Amerykanina, straszy upiór. Musi on jednak opuścić pałac, bo nowi gospodarze są nieczuli na jego brewerie...

„MANGUAR” (scenariusz J. Rymkiewicz, reżyseria Edward Sturlis). Opowieść o zwykłym, przeciętnym człowieczku — który za wszelką cenę chce się wybić, zwrócić na siebie uwagę — i w tym celu zamyka się w klatce ogrodu zoologicznego.

O dalszych filmach rysunkowych i lalkowych — czytając za tydzień.